

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok 2

Łódź, 1 lipca 1946 r.

№ 25 (43)

STANISŁAW OSSOWSKI

Socjologia w świecie powojennym

UCZEŃ CZARNOKSIĘŻNIKA

W obliczu gwałtownego rozwoju nauk przyrodniczych, który w krótkim stosunkowo czasie spotęgował w sposób nieoczekiwany władanie człowieka siłami przyrody, stało się jasne nawet dla ludzi nie mających bezpośredniego kontaktu z nauką, że rozwiązanie najdonioślejszych praktycznych zagadnień, z którymi pora się ludzkość, nie leży już w dziedzinie techniki materialnej, lecz w dziedzinie techniki życia społecznego: że do walki z czterema jeźdźcami Apokalipsy nie są w tej chwili potrzebne nowe źródła energii, lecz odpowiednio wyzyskanie źródeł, którymi ludzkość już rozporządza i nowy układ stosunków społecznych.

To przekonanie spopularyzowało się już przed ostatnią wojną po kryzysie bezrobocia. A ponieważ kultura nowoczesna jest kulturą autorytetu nauki, poczęła się już wtedy szerzyć pogląd wskazujący przyczynę zła w nierównomiernym rozwoju nauk społecznych i nauk przyrodniczych.

Od tego czasu zaszły dwa fakty, których konsekwencje muszą się odbić w wysokim stopniu na przyszłych losach świata: wybuch drugiej wojny światowej, która ucieleśniała wizję Apokalipsy w skali przekraczającej wszystkie doświadczenia przeszłości i wdarcie się w jądro atomu, przez co udostępniona została nowa postać energii w skali, która fantazja przeszłości przypisywała tylko potędze bogów, i to bogów niebylejakich. Przedwojenny pogląd o niewspółmierności pomiędzy techniką materialną i techniką życia społecznego nabral niesłychanej wymowy, a ludzkość uczuła się w sytuacji ucznia czarnoksiężnika, który nie umie dać sobie rady z rozpetanymi przez się mocami.

Już nie humaniści, ale przyrodnicy właśnie kierują wezwaniem do nauk społecznych, aby przyszły z pomocą biednemu uczniowi czarnoksiężnika, który drży przed własną potęgą. Stosunek przyrodników do humanistyki, wobec rozpetanych przez odkrycia nowoczesnej fizyki niebezpieczeństw, uległ zmianie. To już nie jest lekceważący ton przedstawicieli „nauk ścisłych” do czegoś, o czym nie wiadomo, czy jest nauką; to przekonanie o wielkiej doniosłości badań nad człowiekiem i społeczeństwem. Zmiana ta dotyczy może nie całej humanistyki, ale w każdym razie jej dziedzin, których stosunek do techniki życia społecznego przedstawia analogię ze stosunkiem fizyki teoretycznej do inżynierii.

Postulat współpracy przyrodniczo-socjologicznej był jednym z tematów kongresu zwołanego przez brytyjski Związek Pracowników Naukowych w Londynie w lutym r. b., kongresu pod hasłem: „Nauka i dobro ludzkości”^{*)}. Ten sam postulat figuruje wśród celów UNESCO^{**)} i w projekcie statutu Międzynarodowego Związku Pracowników Naukowych, który ma się utworzyć w lipcu r. b.^{***)}.

ZAGADNIENIE PRZYSZYCH MOŻLIWOŚCI

Czy socjologia i nauki społeczne w ogóle spełnią zadanie, które się im dziś stawia? Amerykański socjolog W. F. Ogburn sądzi, że dysproporcja pomiędzy praktycznymi wynikami badań naukowych w zakresie nauk przyrodniczych i w zakresie nauk społecznych pochodzi stąd, iż systematycz-

ne badania przyrodnicze pochłonęły nieporównanie więcej energii społecznej niż systematyczne badania w naukach społecznych. „Gdyby socjologowie rozporządzali sumą dwóch miliardów dolarów, które otrzymali fizycy i inżynierowie na skonstruowanie bomby atomowej — pisze Ogburn — to w ciągu kilku lat mogliby znaleźć sposoby przystosowania warunków życia społecznego do tego nowego źródła energii”^{*)}.

Inni spośród socjologów bardziej pesymistycznie patrzą na praktyczne możliwości swej nauki. Przyczynę dysproporcji pomiędzy praktyczną rolą jednej i drugiej kategorii nauk widzą nie tylko w zapóźnieniu systematycznych badań socjologicznych, ale również w tym, że materiał, z którym ma do czynienia socjolog, jest nieporównanie bardziej skomplikowany, a zależność od subiektywnej postawy badacza na tym terenie jest daleko trudniejsza do usunięcia niż w naukach przyrodniczych. Inni jeszcze kwestionują w ogóle możliwość nauki, gdy idzie o zapobieżenie klęskom ogólnoludzkim, mającym swe źródło w ludzkich dążnościach. Nauka dostarcza tylko środków działania. Pod tym względem nauki społeczne nie różnią się zasadniczo od nauk przyrodniczych. Socjologia i psychologia są mniej rozwinięte, od fizyki, ale w skromniejszym zakresie także dostarczają środków technicznych, czy to będzie technika propagandy, technika świadomego tworzenia grup społecznych lub organizowania współpracy, technika adaptacji do nowych warunków społecznych czy technika pedagogiczna. Ale te same narzędzia, te same metody mogą być wyzyskane do różnych celów, dobrych lub złych. Dotyczy to zarówno techniki inżynierskiej jak techniki działania społecznego. Energia atomowa może być wyzyskana do zniszczenia ludzkości lub do zapewnienia jej dobrobytu. Technika propagandy może służyć szerzeniu miłości lub szerzeniu nienawiści. Jak przekształcić cele, którym środki dostarczane przez naukę mają służyć? Jak zmienić wole tych, którzy kierują losami zbiorowości? To już — powiadają — nie jest sfera działania uczonego. Raczej apostoła.

Są dane, aby sądzić, że założenie Ogburna nie jest wcale założeniem fantastycznym. Technika zbierania materiałów w socjologii, zwłaszcza w socjologii europejskiej, jest jeszcze bardzo prymitywna. Już przez samo tylko zastosowanie pewnych przyrządów, których skonstruowanie — jak sądzę — nie przedstawiałoby wielkich trudności, takich przyrządów jak np. kieszonkowy fonograf, pozwalający wiernie notować rozmowę bez wprowadzania do niej anormalnych warunków i bez absorbowania uwagi badacza, można by podnieść znakomicie wartość naukową pewnej ważnej kategorii materiałów. Udoskonalenie metod gromadzenia materiałów socjograficznych pociągnęłoby za sobą potrzebę udoskonalenia metod korzystania z tych materiałów, gdyż wielka ilość zebranych materiałów może stać się martwym balastem. W socjologii — inaczej niż w fizyce lub biologii — nie wystarczy badaczowi zapoznać się z ostatecznymi rezultatami przeprowadzonych przez kogoś innego doświadczeń, gdyż aby zrozumieć sens tych rezultatów trzeba się zapoznać w całej konkretności z typami ludzkimi i z rzeczywistością społeczną, której owe rezultaty dotyczą.

Możliwość opanowania bogatych mate-

riałów socjograficznych szybko przekracza siły jednego człowieka. Prawdopodobnie tedy rozwój socjologii jest uzależniony od wynalezienia doskonalszych metod pracy zespołowej, metod, które mogłyby prowadzić do rezultatów syntetycznych, aczkolwiek procesy badawcze wiodące do tych syntez przebiegałyby w korze mózgowej nie jednego tylko osobnika. Przewidywania takich metod, których dziś jeszcze nie umiemy sprecyzować, nie wydaje nam się niczym nieprawdopodobnym podczas kiedy np. pomysł zdobywania energii przez unicestwienie materii, zrealizowany przez dzisiejszą fizykę, wydawałby się przed pół wiekiem pomysłem wariata.

Przed wszystkim jednak, gdy chcemy zdać sobie sprawę z perspektyw socjologii w świecie powojennym, musimy sobie uświadomić nowe możliwości, jakie otworzyły się przed socjologią wskutek wielkich przemian rzeczywistości społecznej, które się dokonały w ciągu ostatnich kilku lat.

GIGANTYCZNE LABORATORIUM

Brak ścisłych rezultatów w naukach społecznych w porównaniu z naukami przyrodniczymi, brak należycie udokumentowanych uogólnień, sporny charakter socjologicznych teorii wyjaśniono od dawna nie tylko większą złożonością zjawisk społecznych i wpływami społecznych tendencji badacza, ale również brakiem możliwości swobodnego eksperymentowania, wynikającym stąd, że materiałem badań socjologicznych jest człowiek i ludzka zbiorowość.

Chemik mógł mieszać substancje chemiczne w dowolnych proporcjach i dowolnej temperaturze, mógł je poddawać działaniu elektryczności, lub takich czy innych promieni. Biolog czy fizjolog mógł sobie przesadzać rośliny alpejskie na nizinie i obserwować wydłużanie się pędów albo przesadzać rośliny nizinne w góry i obserwować ich karłowacenie, zmiany barwy kwiatów i zmiany funkcji fizjologicznych. Hodował rośliny bez światła słonecznego i badał, jakie skutki pociągnie za sobą brak chlorofilu. Zapalał słupki jednych gatunków pyłkiem innych, aby wyciągnąć doniosłe wnioski dla genetyki. Wstawiał obce tkanki w organizm zwierzęcy. Do organizmów zwierzęcych lub roślinnych wprowadzał dowolne trucizny. Przeciwnie rozwiązał na części, aby się przekonać, czy z odciętym ramieniem wyrosnie całe zwierzę. Droga długich dokuczliwych zabiegów „kondycjonowania” wywoływał odruchy warunkowe u psów, szurów czy świnek morskich. Pomiedzy zwojami mózgowymi zwierzęcia umieszczał szkiełka lub kawałki metalu, aby spowodować zaburzenia w jego pamięci lub sprawności ruchowej. Badacz życia owadów mieszał w jednym worku mrówki z dwóch wrogich sobie mrowisk, aby zobaczyć, czy zafraca poczucie wrogości, gdy przejdą wzajemnie swoim zapachem.

Socjolog zazdrościł przyrodnikom tych eksperymentów. On nie mógł w celach doświadczalnych stwarzać dowolnych społeczeństw, przenosić dowolnie jednostki z jednego środowiska kulturowego w inne, krzyżować dowolnie wpływy środowisk kulturowych i środowisk fizycznych. Musiał zadawałać się bardzo niedoskonałymi warunkami, jakimi obdarzał go tu i ówdzie szczęśliwy zbieg okoliczności.

Aby móc w sposób odpowiadający wymaganiom naukowym wyeliminować różnice dziedzictwa biologicznego w badaniach nad wpływem środowiska na kształtowanie się dyspozycji psychicznych, trze-

„Kto mówi o interesach jednego narodu, jest nieprzyjacielem wolności”

Adam Mickiewicz

ba było szukać po całych Stanach Zjednoczonych takich niesłychanie rzadkich wypadków, gdzie bliźnięta monozygotyczne^{*)} zostały już w niemowlęctwie rozdzielone i wychowane w obcych domach. Ze świnkami morskimi można było podobne sytuacje wytwarzać programowo. Z ludźmi nie. Według legendy jakiś król egipski nosił się z zamiarem, aby wychować gromadkę niemowląt na bezludnej wyspce, nie dając im żadnego kulturowego dziedzictwa, w celu przekonania się, jaki jest naturalny język ludzki. Już tego rodzaju eksperymenty byłyby dla europejskiego socjologa niedopuszczalne ze względów humanitarnych.

I oto w ciągu sześciu lat przesunęły się przed naszymi oczyma gigantyczne eksperymenty nad ludźmi i nad zbiorowościami ludzkimi, które mogłyby usunąć całkowicie powód do zazdrości względem eksperymentów przeprowadzanych przez chemika, botanika czy fizjologa.

Dokonywano najbardziej wymyślnych zabiegów na ludzkich organizmach, na psychikach ludzkich, na zbiorowościach i kulturach. Tworzono nowe grupy społeczne, przy pomocy najróżniejszych środków usiłowano niszczyć starą wleję społeczną, wytwarzano nowe środowiska i najbardziej sztuczne warunki życia, a w kondycjonowaniu indywidualnym i zbiorowym nie cofano się przed okrucieństwem w żadnej postaci. Wszystko to dokonywało się w olbrzymiej skali na milionach istnień ludzkich, na wielkich obszarach, o różnej przeszłości, różnym podłożu gospodarczym, społecznym, kulturowym.

Eksperymenty te były prowadzone bez naukowych metod i nie w naukowych celach. A są one tak świeże i tak rozległe, że przed socjologiem staje zadanie wyzyskania tych eksperymentów ex post tak, jak gdyby były przeprowadzane w celach naukowych.

Szybkość przemian, które się w powojennym świecie dokonują — migracje, przeobrażenia gospodarcze, radykalne zmiany w organizacji życia społecznego, akcja odbudowy i reedukacji — a przede wszystkim planowy charakter wielu takich podstawowych przeobrażeń sprawia zresztą, że i obecnie dla zorganizowanych badań w zakresie nauk społecznych istnieją warunki stosowania metod eksperymentalnych w daleko wyższym stopniu niż w niedawnej jeszcze przeszłości. Planowanie społeczne, a zwłaszcza planowanie społeczne na wielką skalę, zawsze może być traktowane równocześnie jako planowy eksperyment.

Przedmiot badań socjologia — społeczeństwo ludzkie — jest tworem nieporównanie większych rozmiarów niż przedmioty badań fizjologa lub chemika. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że i laboratorium socjologiczne musi mieć inne rozmiary niż laboratorium w zakresie fizjologii lub chemii. A skoro to nie jest laboratorium skonstruowane ad hoc, skoro mamy zająć postawę względem wydarzeń rozgrywających się niezależnie od woli socjologów, tym łatwiej będzie ubiegać się o warunki laboratoryjne, im większy będzie repertuar różnorodnych możliwości doboru zjawisk, t. zn. im bardziej laboratorium nasze zbliży się do wymiarów powierzchni lądów ziemskich.

Aby możliwe było należyte wyzyskanie

*) „Science and the Welfare of Mankind”.

**) United Nations Educational Social and Cultural Organisation.

***) „To achieve a closer integration between the natural and social sciences”.

*) W. F. Ogburn: Sociology and the Atom, American Journal of Sociology 1946.

*) Bliźnięta, powstałe z podziału jednej zapłodnionej komórki, w przeciwieństwie do bliźniąt dyzygotycznych, powstałych z dwóch równocześnie zapłodnionych komórek.

naukowe eksperymentów wojennych i powojennych, niezbędna jest międzynarodowa organizacja badań. Idzie tu przede wszystkim o systematyzację problematyki, opracowanie metod badania, przygotowanie testów, umożliwienie prowadzenia w różnych krajach badań terenowych kierowanych wspólnym planem, gromadzenie i systematyzację materiałów w międzynarodowej skali. Zorganizowanie takich badań, które zapoczątkowałyby nowy okres w dziejach socjologii, nie jest pomysłem utopijnym: wojna, która dostarczyła gigantycznych eksperymentów dla takiego socjologicznego laboratorium, wytworzyła również klimat podatny do współpracy międzynarodowej na terenie nauki i twórczości kulturalnej w ogóle. Tak przynajmniej można sądzić z nastrojów na międzynarodowych kongresach powojennych.

DWOJAKIE PERSPEKTYWY

Wojna otworzyła przed socjologią nie tylko nowe możliwości: postawiła również przed nią nowe zadania. To było właśnie punktem wyjścia naszego artykułu. Te nowe zadania związane są nie tylko z trudnościami rekonstrukcji świata po sześciolatnim kataklizmie. Wchodzi w grę inna jeszcze sprawa o zasięgu globalnym.

Jesteśmy, jak się zdaje, w przededniu jednego z największych przewrotów w dziejach kultury materialnej. W swoim czasie opanowanie energii drobinowej czyli zastosowanie ognia do życia gospodarczego było jednym z podstawowych wynalazków, które wyniosły człowieka ponad byt zwierzęcy. Ognisko przed jaskinią, kominek, kuźnia, lokomotywa, huta w różnych postaciach, motor spalinowy — oto fazy wyszukiwania procesów molekularnych. Bomba rzucona na Hiroszimę zapoczątkowała epokę stosowania procesów nuklearnych. I właśnie ten groźny początek, jak widzieliśmy, spowodował apel przyrodników i nie-przyrodników skierowany ku socjologom.

Najwybitniejsi specjaliści w dziedzinie energii atomowej twierdzą, że w obecnym stanie wiedzy nie ma sposobów zabezpieczenia kraju przed całkowitym zniszczeniem na skutek nagłego ataku bomb atomowych, jeżeli tylko ten atak będzie dostatecznie przygotowany. Twierdzą również, że żaden kraj od tego niebezpieczeństwa nie jest wolny, gdyż tajemnica bomby atomowej jest fikcją, której poważni fizycy nie biorą na serio, w dodatku fikcją szkodliwą, bo wzmacnia tylko nieufność i zadręczenia między narodami. Taki jest np. sens biuletynu ogłoszonego przed kilku miesiącami przez ekipę „atomów” w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Bomby mogą nadlecieć w pasażerskich samolotach, mogą spaść z raketosfery, mogą być przesłane w rakietach ponad biegunem północnym. A przecież bomba rzucona na Hiroszimę to była skromna jeszcze próba, gdzie został wyzyskany tylko niezmiernie drobny ułamek energii zawartej w dwukilowym pakunku. Przy dotychczasowych środkach prowadzenia wojny, przynajmniej silniejszy partner, jeżeli posiadał znaczną przewagę produkcji zbrojowej, mógł się czuć względnie bezpieczny. I dziś jeszcze rozumuje się według starych schematów. Tymczasem w wojnie atomowej słabszy partner, jeżeli tylko przekroczy pewne minimum produkcji, może w zupełności zlikwidować partnera silniejszego. Jedyną drogą ocalenia jest tedy nie dopuścić do wybuchu wojny.

Jeżeli unikniemy wojny, rozwój wypadków znowu może się potoczyć w dwojaki sposób. Pierwsza ewentualność: wojna nie wybuchnie, ale mocarstwa będą magazynowały energię atomową do celów wojennych na wszelki wypadek — w celu zabezpieczenia się lub wywierania presji. Gdyby tego rodzaju sytuacja trwała czas dłuższy, mielibyśmy do czynienia z kulturą ludzi, którzy mając już w swym doświadczeniu zniszczenia poprzedniej wojny żyliby z perspektywą nieporównanie groźniejszych zniszczeń wojny przyszłej. Byłoby to życie z krótkim horyzontem, życie na krawędzi czynnego wulkanu. Przyczyną nie dotyczyłoby to tylko pewnych grup, jak to miało miejsce podczas okupacji, lecz owo życie z krótkim horyzontem stałoby się udziałem całej ludności w „normalnych” nie wojennych warunkach. Wycisnęłoby to zapewne swoje piętno na całej kulturze, począwszy od postaw etycznych a kończąc na planach urbanistycznych i polityce populacyjnej.

Dруга ewentualność, to wytworzenie takiego układu stosunków, w którym zniknęłaby obawa przed wojną. Taki stan rzeczy wymagałby istnienia międzynarodowej organizacji dostatecznie potężnej, aby mogła rozciągnąć skuteczną kontrolę nad produkcją energii atomowej na całym świecie. Tego rodzaju rozwiązanie narzuca stara teoria marksowska o zależności form życia politycznego i więzi kulturowej od środków produkcji. Jeżeli zakładamy taką zależność — co dziś jest truizmem — i jeżeli zakładamy, że na podstawie tej zależności można snuć jakieś racjonalne przewidywania, to wszechświatowa organizacja polityczno-gospodarcza wydaje się nieuniknionym następstwem wynalazku energii atomowej. Nieuniknionym — jako alternatywa zagłady cywilizacji.

Alte kontrola wszechświatowa nad energią atomową i usunięcie niebezpieczeństwa wojny („wojny jednodniowej”, jak mówią Amerykanie) nie wyczerpuje problemu. Kontrola taka nie usuwałaby energii atomowej z dziejów ludzkości. Wprost przeciwnie: nieunikniona, jak się się zdaje, konsekwencją organizacji trwałego pokoju, byłoby zastosowanie energii atomowej do przemysłu i transportu.

Zważmy teraz, że zależność pomiędzy pokojem wszechświatowym i zastosowaniem energii atomowej do przemysłu i transportu jest obustronna. Zastosowanie energii atomowej do przemysłu i transportu spowoduje niesłychane przeobrażenia gospodarcze, społeczne, kulturalne. Zmieni się skala wartości gospodarczych, zmieni się wartość surowców. Zmieni się formy organizacji przemysłu i wymiany międzynarodowej. Zmieni się odległości ekologiczne*) pomiędzy różnymi częściami globu, możliwością izolacji i kontaktu, a co za tym idzie, system łączności społecznej i stosunki pomiędzy wielkimi zbiorowościami ludzkimi. Zajądą niewątpliwie jeszcze różne takie przeobrażenia, których w tej chwili nie jesteśmy w stanie przewidzieć. I wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, dzisiejsze przyczyny konfliktów między państwami lub grupami państw staną się całkowicie nieaktualne, przejdą do historii ubiegłej epoki. Znikną również prawdopodobnie dzisiejsze przeciwieństwa ustrojowe, gdyż trudno sobie wyobrazić prywatny kapitalizm w gospodarce opartej na energii atomowej. Jeżeli tedy organizacja trwałego pokoju pociągnąć musi zastosowanie energii atomowej do celów pokojowych, to odwrotnie znowu, należałoby oczekiwać, że zastosowanie energii atomowej do celów pokojowych stanie się decydującym czynnikiem pokoju, gdyż zlikwiduje dotychczasowe przyczyny wojen. Dlatego mówiłem o zależności obustronnej.

STARE NAWYKI MYŚLOWE I ANACHRONIZMY W ŻYCIU SPOŁECZNYM

Niestety, przewidywania te, oparte na założeniach nazbyt racjonalistycznych, wymagają zastrzeżeń. Likwidacja obiektywnych powodów do konfliktu nie jest jeszcze zażegnaniem możliwości konfliktu.

W dziejach kultury obserwujemy dwojakie zależności. Jeden typ zależności — to korelacje pomiędzy różnymi dziedzinami kultury w tej samej epoce. Tą kategorią objęta jest zależność pomiędzy podłożem gospodarczym i nadbudową ideologiczną, gdy mówimy językiem Marksa i Engelsa, albo zależność między techniką i cywilizacją stanowiącą temat dzieł Mumforda, albo jakież korelacje pomiędzy życiem artystycznym i kulturą religijną lub nastrojem społecznym politycznym. Ze względu na tę kategorię zależności, zależności synchronicznych, przewidujemy podstawowe przeobrażenia społeczno-polityczne jako wynik zastosowania nowych źródeł energii do przemysłu. Drugi typ zależności to zależność zjawisk społecznych i kulturowych od kulturowego dziedzictwa, zależność od wzorów z okresów minionych, uwarunkowanie chwili bieżącej przez przeszłość. Ta dwoistość zależności kulturowych wyjaśnia nam istnienie przeżytków i anachronizmów w każdym okresie dziejów.

Stan umysłów spóźnia się w stosunku do tego, co miałyby być odpowiednikami nowych przeobrażeń technicznych i gospodarczych. Kierują nami stare nawyki myślowe. W epoce samolotu i auta myśli się w pewnych sprawach schematami z cza-

*) Odległość ekologiczna — odległość mierzona czasem potrzebnym na jej przebycie kosztami podróży.

sów lokomotywy i konnego tramwaju; w epoce energii atomowej będą działały wzory życia społeczno-politycznego z czasów pary i węgla kamiennego. Na skutki społeczne „martwego balastu kulturowego” zwraca uwagę Ogburn w cytowanym przed chwilą artykule, mówiąc o bezwładności w myśleniu, która nie pozwoli nam dostosować od razu życia społecznego do nowej kultury materialnej. Ale ten sam Ogburn nie umie wyplatać się ze starych nawyków myślowych, gdy przewiduje jako środek ochrony przed bombami atomowymi dobrowolną likwidację 200 największych miast amerykańskich w ciągu najbliższych dwudziestu lat i zastąpieniu tych dwustu wielkich miast przez tysiąc miast mniejszych!

Wobec szybkich przemian, jakie zachodzą we współczesnym świecie, anachronizm w życiu społecznym występują bardziej jaskrawo niż kiedykolwiek. I dlatego możemy sobie doskonale wyobrazić taką paradoksalną sytuację, że przy pomocy energii atomowej toczyłaby się wojna o źródła naftowe, których wartość dzięki atomowej energii może spaść do poziomu wartości wody rzecznej.

W OBLCZU NOWYCH ZADAŃ

Badanie dysharmonii kulturowych, badanie przeżytków w myśleniu i w działaniu wchodziło od dawna w zakres socjologii. Można by je łączyć z zadaniami praktycznymi: z poszukiwaniem metod usuwania szkodliwych dysharmonii, metod przyspieszania adaptacji myślowej, a przez to samo z szukaniem dróg ocalenia ludzkości przed najstraszliwszym przeżytkiem: przed wojną — w myśl wezwań kierowanych dzisiaj ku socjologom.

Dotychczasowe rewolucje przemysłowe dokonywały się spontanicznie, bez umysłowego przygotowania, bez przygotowania się na ich skutki społeczne. Rewolucja, która nas oczekuje, dzięki rozwojowi socjologii i psychologii mogłaby być pod tym względem przygotowana — właśnie dlatego że zdajemy sobie dziś sprawę zarówno z zależności sposobów myślenia od techniki i życia gospodarczego, jak z bezwładności myślowej, która opóźnia dostosowanie się umysłów do nowych warunków.

Socjologia jako świadoma przewodniczka w tym przejściu ludzkości w nową epokę mogłaby odegrać bezprecedensową rolę przy budowaniu nowej kultury. Ale rolę taką mogłaby odegrać tylko w skali międzynarodowej. Zarówno tedy nowe możliwości jak nowe zadania socjologii wiążą się z postulatem zorganizowanej współpracy międzynarodowej na tym polu.

Z punktu widzenia teoretycznego dostość takiej współpracy polegałaby nie tylko na możliwości koordynowania badań w skali globalnej. Jak już wspominałem, w naukach społecznych badacz jest zazwyczaj w znacznie większym stopniu zależny od sugestii swego środowiska społecznego niż w innych dziedzinach nauki. Oczywiście, socjolog ma zawodowo obowiązek wyzwać się od tych sugestii, spoglądać zwyż na konformizm i przesady swego otoczenia, ale wypełnienie tego obowiązku wymaga odpowiednich warunków. Pod tym względem niesłychanie pomocny jest bliski kontakt z ludźmi wychowanymi w środowiskach całkiem odmiennych. Międzynarodowa współpraca mogłaby wytworzyć środowisko badawcze, z którego dałoby się wyeliminować wpływy partykularnych interesów i partykularnych stereotypów w nieporównanie wyższym stopniu niż w środowiskach istniejących obecnie. Oczywiście, mówiąc o międzynarodowym środowisku badawczym, mam na myśli nie sporadyczne kongresy, na które przyjeżdżają delegaci poszczególnych krajów, jako delegaci obciążeni obowiązkami reprezentacji, lecz trwałą organizację naukową, której uczestnicy chociażby normalnie prowadzili badania w poszczególnych krajach, komunikowaliby się ze sobą w charakterze pracowników jednej instytucji.

Kongres zwołany przez brytyjskie Stowarzyszenie Pracowników Naukowych obradował bezpośrednio prawie po zamknięciu sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tematem były zagadnienia społeczne związane z rozwojem nowoczesnej nauki. Dominowała atmosfera demokratyczna w bardzo radykalnym sensie. Obok uczonych o światowej sławie zabierał głos przedstawiciel angielskich górników.

Otóż, kiedy po wysłuchaniu szeregu dyskusji w ONZ, gdzie rozważania meryto-

Z POEZJI FRANCUSKIEJ

GEORGES DUHAMEL

Ballada o człowieku ze zranionym gardłem

Nie mów bracie o szyl rozdartej!
Wystarczy mi odnaleźć twe spojrzenie.

Wystarczy mi, gdy widzę głęboką zmarszczkę,
Co pulsując oddala się ku twojej skroni.

I zrenicie twożna i ruchliwa,
Co rozszerza się w mroku wewnętrznym.

I całe ciało twoje, leżące przede mną,
Jak stronica, napisana w moim języku.

Twoje ciało! do paznokcia na małym palcu,
Do pomarszczonej skóry kolan,

Do uszu popękanych od wiatru,
Do stóp, wzdętych od żył pracowitych!

Bracie! Czyż nie wiesz, że od kiedy ty dygoczesz,
I ja, jak gałązka osiłek dygoczę?

Jeśli kaszel rzezi w głębi twojej piersi,
nie może być żadnej radości dla mojej piersi!

Jeśli powietrze świszcze, rozdzierając twoja
gardło,
Czyż może śpiewać, wydychane przez moje
gardło?

Jeśli sen zapomina o tobie tej nocy,
Czy myślisz, że może napęlić mnie, tej nocy?

A więc, o towarzyszu mój, nie mów!
Nie daj krwawić twemu gardłu przebitemu!

Spojrzył mi tylko w oczy,
Spojrzył mi tylko w serce.

Pozwól niech tylko opadnie w moją dłoń
Twoja dłoń gruba, tak krzepka, a tak słaba

A więc, o towarzyszu mój, nie mów nie więcej
Ty, który tyle rzeczy masz mi do
powiedzenia.

Przełożył Ryszard Matuszewski

FRANCIS JAMMES

Z nogami przy kominku

Z nogami przy kominku rozmyślałem o ptakach,
mówiących Kolumbowi, że ziemia jest bliska.
Była woda i woda, woda wciąż jednaka,
wciąż woda. Wreszcie Rodrigy Triana za-
krzyknął:

„Ziemia!” I wiatr na rejach zaśpiewał wyniosły.
Żałoga na kolana padła. W Świecie Nowym
Lasy pełne błękitnych małych stały otworem
a ciężkie żółwie jaja na wybrzeżu niosły.

Kiedyś ja, jak marynarz szczęśliwy i ufny,
nareszcie odkrył będę mógł słoneczną plażę
jej włosów rozsypanych na ciele wysmukłym,
jakgdyby nową wyspę pośród sennych marzeń?

Przełożył Ryszard Matuszewski

ryczne tak często splatały się z grą polityczną zależną od chwilowej koniunktury, kiedy się miało sposobność uczestniczyć w obradach kongresu przedstawicieli świata naukowego przejętych duchem reformatorskim i głębokim poczuciem moralnej odpowiedzialności uczonego, kiedy się widziało ich troskę o sprawy społeczne a równocześnie troskę o rzetelność badawczego wysiłku, pragnienie istotnego porozumienia, nie na drodze kompromisów, lecz poprzez wspólne zgłębienie i rozwiązanie zagadnień — trudno się było oprzeć przekonaniu, że płaszczyzna nauk jest tą właśnie płaszczyzną, na której byłoby najłatwiej rozpocząć istotny proces jednoczenia świata.

Wydaje się, że dobrze byłoby spróbować pokonywania konfliktów międzynarodowych w takim środowisku, gdzie najszybciej można się uwolnić od wpływu lokalnych punktów widzenia, w środowisku, gdzie zna się mechanizm zależności myślenia od warunków społecznych i gdzie ludzie zawodowo zdają sobie sprawę z relatywności sądów. Powstanie trwałego międzynarodowego środowiska badawczego w dziedzinie nauk społecznych byłoby tedy czymś więcej niż stworzeniem doskonałych warunków pracy badawczej. Socjologia polska, być może, miałaby pewne dane, aby w tej sprawie podjąć inicjatywę.

Stanisław Ossowski

WACŁAW BOROWY

Prace i wypadki anglistyczne

Znało się ludzi, co lata studiów poświęcili (łącznie z licznymi wyjazdami), zanim się odważyli wypowiadać jakieś ogólniejsze sądy o Anglii i jej życiu kulturalnym. P. Wionczek, posiedziawszy w Londynie ledwo kilka tygodni, już nie tylko poucza nas o sprawach angielskich, ale zamiaszcza krytykuje swoich nieco cierpliwszych poprzedników (w artykule „Noty o muzach nad Tamizą”, druk w „Kuźnicy” nr. 19). Słyszymy, że „przygodne wyprawy naszych anglistów czy intelektualnych globtroterów w świat Wielkiej Brytanii wprowadzały raczej w błąd, niż informowały”. „Znakomitym” dowodem ma być „historia z Chestertonem”. Rzeczą, wszyscy prawie polscy angliści o nim pisali (Dyboński, Tarnawski, Tretiak); niżej podpisany zawinił najwięcej, bo napisał o nim całą książkę; a tymczasem p. Wionczek nie może „w życiu dzisiejszej Anglii” znaleźć żadnych śladów tego pisarza. (1) W wielkich nawet księgarniach nie sposób dostać jego książek. (2) „Od dni jego śmierci nie było, zdaje się, żadnego wydania żadnej jego książki”. (3) A i za życia, jak „opowiadają” p. Wionczkowi, nikt z Anglików nie traktował go poważnie; widziano w nim najwyżej „wesołka”.

Największa odpowiedź musi być, niestety, nieco dłuższa, niż lapidarne twierdzenia p. Wionczka. (1) Sam p. Wionczek pisze, że w księgarniach angielskich trudno dziś dostać nie tylko Chestertona, ale i klasyków. Chyba nie dlatego, żeby byli nic nie warte, ale dla tego, że mało książek na rynku. Znamy i inne kraje, w których jest podobnie. (2) Bibliografia jest dziedziną, w której metoda „zdaje się” najmniej jest odpowiednia. Gdzie jak gdzie, ale tu łatwo jest możliwa ta „sprawdzalność”, którą tak wytrwale (i tak słusznie) apostołuje „Kuźnica”. Niestety, ja nie mogę, tak jak p. Wionczek, zajrzeć do wojennych roczników „English Catalogue”, t. j. pełnych wykazów corocznej produkcji książkowej angielskiej. Jedynym, w tej chwili, moim źródłem informacji jest — dzięki wyjątkowemu okolicznościom pozyskana — książka Maisie Ward p. t. „G. K. Chesterton” (Londyn 1945). Z niej już jednak wynika (str. 561), że po śmierci Chestertona (1936) wyszło przynajmniej pięć jego książek, które nie były drukowane za jego życia. O przedrukach ta książka nie mówi. Ale oto przypadkiem w warszawskiej księgarni Trzaski, Everta i Michałskiego pokazał się egzemplarz wyboru pism Chestertona, wydanego w niezmiernie popularnej „Everyman's Library”; data przedruku: 1941 (3) Wspomniana książka Maisie Ward liczy 576 stron, dużej osiemki. Egzemplarz, który mam, wchodzi w skład 30-go tysiąca (aczkolwiek uwaga na odwrocie tytułu głosi, iż wydawcy zachowali wszystkie obowiązujące zasady oszczędności). Z podanej na końcu dzieła literatury przedmiotu (str. 568-9) wynika, że jest to już co najmniej ósma książka o Chestertonie wydana w Anglii po jego śmierci (dwie są przekładami z francuskiego). Mówię: „co najmniej”, bo są i książki niedatowane, do których by trzeba zajrzeć, by określić, kiedy wyszły. Książka Maisie Ward jest pouczająca i z innej jeszcze perspektywy. Zawiera ona m. in. mnóstwo listów pisanych do Chestertona przez takich ludzi, jak G. B. Shaw, H. G. Wells, E. Gosse, William James, J. Middleton Murry, G. C. Coulton (umyślnie pomijam katolików), a wszystkie pełne uznania, nieraz podziwu (choć bardzo często pełne i żartów: Shaw i Wells są też „wesołkami”). Więc to nie jest tak „tragikomiczne nieporozumienie” (słowa p. Wionczka), że i u nas Chesterton się traktuje jako „myśliciela i ideologa”. Życie kulturalne Londynu nie jest takie proste, jak się może wydawać turystom. To nie to, co w niektórych innych miastach, w których o wszystkim podobno można się dowiedzieć w jednej kawiarni w ciągu jednej godziny od jednego staro pleciugi.

P. Wionczek szybko „zlikwidował” nie tylko anglistykę polską i Chestertona, ale i katolicyzm angielski. Jego renesans ma być tylko „mitem”. Jaką metodą do tego przekonania p. W. doszedł, nie pisze. Zapewne także metodą impresji. Wspomnę o innej. Przed wojną istniały w Anglii cztery periodyki katolickie „Dublin Review”, „Tablet”, „Catholic Times” i „Catholic Herald”. Można sprawdzić, czy wszystkie zamilkły. Chyba nie (cytaty z „Tablet” widuje się dość często i w prasie polskiej). Przed wojną łatwo było dostać (za 2 pence) planik Londynu z oznaczeniem wszystkich kościołów katolickich. 11 lat temu było ich ok. 140 i na

nabożeństwach było w nich przeważnie pełno. Łatwo sprawdzić, czy dziś liczba ich zmalała i czy w czasie mszy świętej pustkami. Jacy wybitni pisarze są dziś w Anglii katolikami, można się dowiedzieć z osobnych książek, jak np. G. N. Shustera „The Catholic Spirit in Modern English Literature”. Zdało się, że p. W. z nich nie korzystał. Naturalnie, „renesans katolicyzmu” to nie to samo, co renesans „ideałów średniowiecznych”. Jeśli który z naszych „humanistów” (p. Wionczek używa tego wyrazu w sztychlerczych cudzysłowach) te dwa zjawiska utożsamia, źle robił. Ale nie „zdaje mi się”, żeby dobrze robił p. W., tak ryczałtowo i pośpiesznie się załatwiając w felietonie z tak dużymi sprawami. (O „ideałach średniowiecznych” bardzo przyjazne uwagi można przeczytać np. w „Science and the Modern World” Whiteheada, który nie jest ani katolikiem, ani „humanistą”).

I jeszcze dwie sprawy p. Wionczek rozstrzyga — również szybko: sprawę naszych przekładów z angielskiego i spr-

wę angielskich przekładów z polskiego. Z jego słów można wnosić, że poza „angielskimi Mniszkównami” w dwudziestolecu międzywojennym nic się nie tłumaczyło z angielszczyzny wartościowego. Tłumaczyło się, prawda, za mało, tłumaczyło się nie dość planowo i niezbyt świetnie, ale ostatecznie, prócz Miss Dell, Miss Glyn itp., tłumaczyło się Contada, Kiplinga, Wellsa, Galsworthy'ego, Aldousa Huxleya, Katarzynę Mansfield, Yeatsa, Joyce'a etc. Było w tym może dużo „bezholowia”, ale nie ono samo tylko. (Najgorzej wygląda sprawa tłumaczeń z Chestertona, bo nie przełożono żadnej z jego książek zasadniczych. Także znajomość Shawa jest w Polsce słaba. Grywa no go w teatrach, ale nie wydawano. Stąd o jego przedmowach, czasem równie świetnych jak sztuki, mało komu u nas nawet wiadomo). „W odwrotną stronę”, jak się wyraża p. Wionczek, tj. z polskiego na angielski, tłumaczyło się, naturalnie, o wiele mniej. Jedną z głównych przyczyn była mała liczba literatów angielskich, znających język polski. Wiele

zamieszania i rozczarowań wywołała naiwność Polaków, wyobrażających sobie, że oni to właśnie są powołani do tłumaczenia rodzimych arcydzieł na język angielski. Zdarzają się takie uzdolnienia, owszem, ale tylko wyjątkowo. I nasz Boy nie był Francuzem, tylko Polakiem. P. Wionczek dużo nam mówi o p. Sobieniowskim, ale nic o pisarzach angielskich, którzy z nim mają współpracować. Kompetencja bowiem p. Sobieniowskiego może być duża, ale faktów bibliograficznych, które by ją stwierdzały, jest jeszcze mało. Z rzeczy, które są „na warsztacie” p. Sobieniowskiego, — dodam przy okazji — „Na skalnym Podhalu” już się ukazało w druku czasu wojny w przekładzie Miss Kennedy i p. Umińskiej (zob. T. Sawickiego „Rocznik bibliograficzny” tom I, Edynburg 1942, poz. 470). O widokach powożenia w Anglii innych autorów, których p. W. wymienia, można mieć różne zdania. Jedno nie ulega dla mnie wątpliwości: że przekład tak (jakoby) „interesującego angielskich szekspirologów” studium Wyspiańskiego o Hamlecie (jednej z najciemniejszych książek polskich) jest pomysłem najzupełniej chybionym. Znałoby dla tego pomysłu słowa zachwytu — właśnie na łamach „Kuźnicy” — było dla mnie jednym z silniejszych wrażeń czytelniczych w ciągu wielu tygodni.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

Na starsze pokolenie — pamflet

Szanowny Panie Redaktorze!

Przesyłam Panu artykuł do „Kuźnicy”, jako głos w dyskusji o młodzieży. Mimo różnic dzielących mnie dziś od Pańskiego Pisma, wydaje mi się rzeczą zdrową i pożądaną, by taka dyskusja toczyła się na łamach jednego organu, pod warunkiem, iż redakcja zapewni autorom swobodę wypowiedzi. Łączę wyrazy szacunku

Kazimierz Koźniewski.

Z polską młodzieżą jest źle. Wszyscy to widzą, choć każdy zauważa inny aspekt zagadnienia. Zagadnienia bodajże najważniejszego w naszym życiu narodowym i państwowym. Zagadnienia, które od wielu lat kładzie się smuga cienia na naszym całym życiu społecznym, na naszych perturbacjach politycznych.

Młodzież polska znajduje się obecnie w stanie wrzenia politycznego — co w drastyczny sposób ujawniają ostatnio procesy przeciwko uczestnikom tajnych organizacji, co ujawniła, jeżeli chodzi o odcinek szkół średnich, niedawna konferencja w Kuratorium stołecznym, poświęcona uczestnictwu młodzieży szkolnej w nielegalnych organizacjach; co daje znać o sobie w manifestacjach politycznych, w których bierze udział młodzież.

Młodzież polska przeżywa obecnie silny kryzys fizyczny: Nędza, a za nią idąca gruźlica szerzy się w sposób niepokojący. Młodzież musi zarobkować, co wobec konieczności godzenia pracy z nauką — nie daje korzystnych rezultatów ani w jednej, ani w drugiej dziedzinie.

Młodzież polska — (problem ten postawił przed społeczeństwem Żółkiewski Stefan w zamieszczonym w Nr 9 (27) „Kuźnicy” artykule „O młodszych bracie — pamflet”) — jest w tej chwili w stanie silnego kryzysu umysłowego, który powoduje brak rzetelnych zainteresowań naukowych i kulturalnych.

Sprawy młodzieży są zbyt poważne, by godziło się tylko na jednostronne oceny sytuacji. Musi zrodzić się — raczej ma całkowicie Żółkiewski — dyskusja, która jednak nie może ograniczać się do zespołów kameralnych czy zamkniętych, lecz tęczona winna być publicznie. Z tym, że najbardziej zainteresowana w niej sama młodzież, przedmiot tej dyskusji, niekiedy nawet obiekt oskarżenia — musi wypowiedzieć się przede wszystkim i zupełnie swobodnie. Inaczej nie potrafimy zorientować się dostatecznie w chorobie, a skutkiem tego środki zaradcze czy lecznicze mogą się okazać w najlepszym razie mało skuteczne.

Dwie są przyczyny tego, iż młodzież polska jest w tej chwili taka, jak powiedziano wyżej.

Pierwsza przyczyna — mająca raczej charakter przejściowy, wywołany warunkami i wypadkami lat ostatnich — jest przyczyną raczej drugorzędą. Jest nią kryzys psychiczny i fizyczny, jaki panuje wśród młodych ludzi. Kryzysem fizycznym nazywam brak warunków materialnych, które umożliwiają swobodną naukę z jednej strony i z drugiej umożliwiają naprawdę bezstronne i obiektywne spojrzenie na otaczającą rzeczywistość. Czyż można dziwić się opozycyjnemu nastawieniu akademika, syna chłopca (z podwarszawskiej wsi), który przybywszy do stolicy nie ma gdzie mieszkać, gdyż okazuje się, że Urząd Samochołowy jest dla państwa ważniejszy niż Dom Akademicki, niż dach nad głową dla studentów? Czyż nie mająca młodzież nie mająca po domach akademickich

prześcieradeł — nie może łatwo ulec najbardziej antypaństwowym podseptom, gdy widzi ile metrów płótna zużywa się na transparenty i flagi przy przeróżnych uroczystościach państwowych, a równocześnie czyta taki młodzieńiec w gazecie, iż uroczystości pierwszomajowe w Anglii zostały bardzo ograniczone, gdyż Wielka Brytania uważa siebie za zbyt biedną, by świętować ten dzień. A czy wszyscy wiedzą o tym, że obiady w akademickich stołówkach są nędzniejsze, niż w stołówkach poszczególnych zrzeszeń przemysłowych i w ministerstwach? Czy może wreszcie naukowo dość wydajnie pracować chłopak, który — cytując za Żółkiewskim — walczy o mieszkanie, o obiad, o egzystencję, podczas gdy jego tydzień pracy sięga 72 i więcej godzin?

I to jest właśnie kryzys fizyczny. Dziwimy się, że młodzież jest opozycyjna — a przecież rewolucje właśnie najłatwiej wybuchają w krajach ludzi głodnych; dlatego też rewolucjonista starej daty sprzeciwiał się wszelkiej akcji charytatywnej, jako rozładującej w społeczeństwie napięcie, spowodowane przez nędzę i choroby.

Kryzys psychiczny ma nieco inne podłoże. Młodzież polska w znacznej części była przez cały czas trwania wojny ideowo związana z Rządem Polskim w Londynie. I to nie tylko środowisko tzw. inteligencje, ale i młodorobotnicze. Młodzież polska już od lat wielu (nie będę nic mówić o społeczeństwie starszym, ale tam też pewne procesy przebiegają podobnie), przeżywa załamywanie się obowiązujących lub uznanych koncepcji politycznych. Jedni przegrali „maj”, drudzy przegrali „wrzesień” (nie znaczy to broń Boże bym wzorem tanich demagogów partyjnych chciał równoważyć „maj” „wrześniowi”, „Maj” był tragedią w Polsce, w narodzie, „wrzesień” był natomiast tragedią Polski, klęską narodu). Trzeci przegrali wojnę. Wykazali brak realnego zmysłu politycznego. Broniąc ich czy oskarżając — można w każdym razie stwierdzić, że przegrali.

W tym stanie rzeczy gros polskiej młodzieży zawisło w politycznej pustce. Dostała ona obuchem po głowie. Widzi, iż jej ofiara jest nieuznawana, niekiedy nawet potępiana. Jednostki oportunistyczne, mało — warte, przedko zmieniły kolor sztapardu. Jednostki nierozważne, lecz zapalne, zapewniły leśne oddziały. Większość jednak młodzieży ma zbyt wiele szacunku dla własnych przekonań, by je zbyt łatwo zmienić, a jest równocześnie nadto rozsądna i uczciwa, by zapałaniem „lasy”. Młodzież dziś jest zawiedziona. Utraciła jedno oparcie, a minął dopiero rok, jak zaczęła szukać nowego. Procesy tego rodzaju, gdy się dokonywują przedko, w rytmie maszyny rotacyjnej, nie mają żadnej wartości. To musi trwać czas pewien i dziwnym jest wymagać od młodych, by sprawy te mieli już załatwione, gdy starzy i najstarsi nawet świata tego, jeszcze sami do tak błogosławionego stanu nie doszli i innych doń nie doprowadzili.

Ten właśnie kryzys fizyczny i psychiczny — odbija się na charakterze i postępowaniu dzisiejszej młodzieży. Wymaga on środków zaradczych, co do których należy jednak zrobić zastrzeżenie, iż areszt nigdy nie był i nie będzie skutecznym lekarstwem na młodzieńcze niepokoje. Woda nie gasi płonącej benzyny, lecz ją podnieca.

Kryzys fizyczny będzie się zmniejszał wraz ze stabilizacją gospodarczą Polski, a może nawet w pewnych szczególnie szczęśliwych warunkach całkowicie zniknąć. Kryzys psychiczny będzie malał wraz z uspakajaniem się światowych i narodowych spraw politycznych. Istota jednak problemu naszej młodzieży polega na czymś zupełnie innym.

Zamknięcie dyskusji o młodzieży

Chodzi o to, że naród polski od półtora wieku nie miał ani jednego normalnie rozwijającego się pokolenia młodych. Ze od dłuższych już lat — i ciągle jeszcze — młodzież polska nie ma możliwości normalnie przeżyć swych lat młodzieńczych, gdyż i okoliczności i — co najgorsze postępowanie starszego społeczeństwa — zbyt wczesnie młodzież tę uaktywnia politycznie, zbyt wczesnie stawia przed nią do wypełnienia zadania i decyzje, które winny tylko i wyłącznie należeć do zakresu decydowania i działania dojrzałego, kompletnie ukształtowanego intelektualnie i psychicznie tzw. starszego pokolenia.

Zbyt wczesne uaktywnianie się polityczne naszej młodzieży, co w konsekwencji powoduje zbyt wczesne wyczerpanie się jej — jest naszą chroniczną chorobą narodową. Choroba, która nie tylko, że wydate pokolenie za pokoleniem niedouczzone, nie tylko politycznymi kanonami deformuje i kastruje młode dusze i młode umysły, ale jeszcze osłabia siły wegetatywne starszego pokolenia, które wyższy się za młodu, w wieku nieco starszym pragnie już tylko za wszelką cenę żyć spokojnie. I w efekcie tego, gdy u innych narodów politykę robią ludzie starsi, ba! nawet starzy, i robią ją dobrze — u nas o losach narodu decydowali przeważnie ludzie młodzi, lub też ludzie uzależnieni od emocjonalnych dyspozycji kół, organizacji czy grup młodzieżowych. I skutki tego są na ogół opłakane.

Przez cały czas niewoli ciężar walk wolnościowych musiał spoczywać na młodzieży. Typowo młodzieżową była decyzja powstania 1831 roku. Każde młode polskie pokolenie zrywało się do czynu zbrojnego i politycznego (w najprzeróżniejszych formach), każde wskutek międzynarodowych układów sił i własnej militarnej słabości — walkę tę przegrywało. I wtedy — co obserwujemy z zupełną precyzją — następuje odpływ sił żywotnych danego pokolenia. Odpływ w sensie fizycznym (śmierć, więzienia, zesłania, emigracja) i odpływ sił duchowych (zawód, rozpacz). Pragnienie spokoju i ideal apolitycznej pracy pozytywnej u ojców, przeradzał się u synów w nowy zryw patriotyczny - militarny. W takich warunkach — rzecz zrozumiała — każda, powstająca w Polsce, nowoczesna partia polityczna (Narodowa Demokracja, PPS) musiała się oprzeć przede wszystkim na młodzieży. Podobnie zresztą było i gdzieindziej. Kierownictwa partii politycznych nie tylko, że nie starzy się trzymać młodzieży możliwie zdaleka od bezpośredniej działalności politycznej, ale przeciwnie — szukając zwolenników, przede wszystkim sięgali po entuzjastyczną a naiwną młodzież. Nie oglądano się wcale na straty, jakie ponosi naród, gdy część jego młodzieży zostaje ideowo i umysłowo skrupowana już na progu swego samodzielnego życia.

Co jednak można zrozumieć w warunkach niewoli, przy celach jakie stały przed narodem — w czasach wolności narodowej stało się zwykłą zbrodnią i karygodną demagogią. Moralność publiczna jakże często potępia matkę, która zabiła dziecko jeszcze nie narodzone — a jak potępić należy tych, którzy nieufornowany intelekt i charakter młodzieży starają się wtłoczyć w ramy swych ciasnych i jednostronnych programów politycznych?

Międzywojenne dwudziestolecie było jeszcze karygodniejsze pod tym względem niż uprzednia niewola. Gdy nie było po temu żadnego usprawiedliwienia — poza zwykłą walką o liczbę własnych stronników.

Przez dwadzieścia lat byliśmy świadkami dzikiej demagogii młodzieżowej, która uprawiała zarówno rząd jak i wszelkiego ro-

dzaju opozycja, od lewicy do prawicy, byleby tylko znalazł swoich następców. Zamiast jak najdłuższej powolnej młodzieży na rozwój zupełnie swobodny — już od najmłodszych lat szkolnych państwo stosowało z całą konsekwencją tzw. wychowanie państwowe, które rzecz jasna było wychowaniem rządowym. Poprzez szkołę powszechną, średnią, wyższą, na wojsku kończąc — stosowano owe osławione wychowanie państwowe z całą skrupulatnością i bezwzględnością. Nauka historii uwypuklała jedne sprawy, pomijała lub lekko zbywała inne. System obchodów, portretów, manifestacji, defilad — też służył temu celowi.

W tym stanie rzeczy opozycyjne partie polityczne nie siedziały z założonymi rękami. I one miały i chciały mieć swoją młodzież. Pierwszym frontem tej młodzieżowej walki były wyższe uczelnie. Młodzież była politycznie rozpalona do najwyższych granic. A ponieważ ani reżim sanacyjny nie był rozkoszny, ani Polacy nie są zbyt skłonni do lojalności wobec nikogo, nawet wobec własnego rządu — toteż partie opozycyjne miały większe sukcesy. I to proporcjonalnie do tego, im która była bardziej demagogiczna i bardziej schlebiała młodzieży. Oczywiście siły raz wyzwolone — trudno okiełznać. Stronnictwo Narodowe nie potrafiło utrzymać w ryzach swą rozpolitykowaną młodzież. I wówczas powstała rzecz może najstraszniejsza: polityczne organizacje młodzieżowe. Nie ideowe. Ale właśnie polityczne, które miały wolę odgrywania samodzielnej roli politycznej. Gdy jeszcze do tego — na odcinku sprawy żydowskiej — pokazało się, że młodzież jest w stanie zmusić rząd do spełnienia jej absurdalnych i zbrodniczych żądań — to ambicje rosły wraz z jedzeniem. I to u wszystkich. U tych, którym ich życzenia spełniano, i u tych, którym odmawiano. Stosunki na naszych przedwojennych uczelniach były dostatecznie potworne i znane, by jeszcze raz je opisywać. Łaski, błokady, ławki, bojówki, ulotki, podwójne „bratniałki”, rezolucje polityczne, by wspomnieć choćby osławione wiece marcowe (1939) uniwersyteckiej Legii Akademickiej. I jeżeli rząd ówczesny był z istniejącego stanu rzeczy mało zadowolony, to nie dlatego, iż młodzież „politykowała” (jak się mawiało), ale że „politykowała” w innym niż reżim ducha.

Rzecz zrozumiała, że raz usankcjonowana polityka na terenie młodzieży nie zatrzymała się na progu matury. Partie przeskoczyły próg ten lekko. A ponieważ regulamin zabraniał jawnej organizacji politycznej na terenie szkół średnich — stronnictwa, nie bacząc na to, iż wszelka konspiracja wywołuje zasadniczo wielkie spustoszenie moralne, szczególnie u młodych, potworzyły tajne organizacje polityczne. Na terenach szkół średnich był tajny ONR, była tajna „Falanga”, była tajna „Noga” („Narodowa Organizacja Gimnazjalna”), był tajny socjalistyczny „Spartakus”, były tajne grupki komunistyczne, ba! widać się dystansowała w wysięgu o młodzież sanacja powołała też tajne organizacje gimnazjalne: „Trzynasty Maja” i „Związek Rewolucyjnych Pilsudczyków”.

Wszystkie środki były godziwe, byleby tylko zdobyć sobie młodzież.

Tego rodzaju postępowanie miało swe rezultaty — i to właśnie takie, nad którymi ubolewał Żółkiewski. Po pierwsze odciągała młodzież od nauki w ogóle, po drugie — organizacje z góry narzucały swym członkom pewien schemat ideowy, który uniemożliwiał stosowanie naukowego obiektywizmu i należytego rozsądku w ocenie zarówno przeszłości jak i teraźniejszości. Istotne stawały się nie umiejętności czy wiadomości — lecz przekonania. Zamiast młodzież uczyć wszechstronnie, bokażywać jej przez różne systemy, odsłaniać najrozmaitsze aspekty każdej sprawy i czekać na jej własną opinię, aż dojrzeje, aż pozna życie — wymagano od niej natychmiastowej decyzji, kazano od razu przyjmować i wierzyć w jeden jakiś system. Chinkom na zdrowie nie wychodzi krepowanie od dziecka stóp; stają się kalekami. To samo z młodymi umysłami, którym każe się wierzyć w jakiś system. Karleją umysły.

W latach niewoli pod wpływem okoliczności zewnętrznych — politycznych i naracowych, a w czasie niepodległości pod wpływem starszego pokolenia — młodzież zbyt wczesnie dojrzała politycznie i wobec tego zbyt wczesnie przekwitła politycznie. Wszystko było o dobrych lat dziesięć za wczesnie.

Wojna, okupacyjne i niepodległościowe perturbacje — znów sprawiły, że kolejny „rzut” młodego pokolenia zbyt wczesnie dojrzał i życiowo i politycznie, że cały szereg odcinków przebiegało pod kierownictwem młodych działaczy, którzy w normalnie żyjącym i rozwijającym się społeczeństwie (np. brytyjskim) musieliby jeszcze ładnych parę lat czekać na wstępne godności państwowe i polityczne. Obniżenie cenzusu wieku i doświadczenia u góry — obniżyło ten cenzus i w dół. Dzieci stawały się przedwcześnie czynnymi aktorami historycznego dramatu — i przedwcześnie dereślały. Historia kiedyś bezstronnie oceni ile szaleństw i strat kosztowała nas młodzieńczość naszych kierowników. Jednak i teraz już możemy ocenić straty które ponieśliśmy przez zbyt wczesne dojrzenie naszych dzieci i naszych młodzieży. Wystarczy rozzejrzeć się po ulicach, stacjach kolejowych, szkołach i więzieniach. Wszędzie w życie nowe pokolenie niedouków z niepokojącymi studiami i szkołami.

Na odcinku młodzieżowym doszliśmy do

absurdów, jak np. nieustanne szermowanie hasłami w rodzaju „młodzi zmienia świat”, „młodzi odbudują Polskę”, młodzi chcą tego czy owego, za to, że są młodzi, mają dostać to czy owo. Młodość miał być stanem przejęciowym, obietnicą przyszłości, przygotowaniem się do życia — stała się walorem sama w sobie. Nie rozum, lecz właśnie młodość. Karłery na tym robią na ogół ci działacze młodzieżowi, którzy — gdyby przestali być „działaczami młodzieżowymi” — to wszedłszy do życia społeczeństwa dojrzałego ze swą mierną na ogół inteligencją, nie wiele by znaczyli (typowy przykład ze znanego mi odcinka: starzy zawodowi harcerze, którzy poza organizacją nie są niczym w życiu społecznym).

Sprawa młodzieży w Polsce tak długo nie zostanie pozytywnie załatwiona — jak długo nie sprowadzimy z powrotem młodego pokolenia do wyznaczonych mu przez naturę pro-

JULIUSZ ŻULAWSKI

o ideologii w wychowywaniu młodszych *)

Sposób patrzenia na rzeczy, jaki w tej sprawie stosuje, może się okazać dalekim od sposobu patrzenia zawodowego pedagoga. Ale przecież sprawa jest merytorycznie interesująca, paląca i niepokojąca nie tylko dla pedagogów. Tym bardziej, że w praktyce pisarz, chcąc nie chcąc, staje się również pedagogiem, gdy daje współczesnemu i następnemu pokoleniu swą księżkę do ręki — a ponadto każdy, kto nie jest całkowicie pasywnie ustosunkowany do życia, zna wagę troski o gatunek ludzi, którzy na jego oczach rodzą się i dojrzejają w nurcie płynących dziejów.

Bo też zawsze, gdy myślimy o sprawach wychowywania, inspirowania i kształcenia młodszych, to — świadomie czy nieświadomie — wiążemy te myśli z naszym poglądem, na kierunek, w którym płyną dzieje, na formy, które zamierzamy tym dziejom budować. I nigdy nie było, nigdy nie jest inaczej. Różnice są jedynie w stopniu i w gatunku świadomości. Jeżeli wiążemy ze sobą tamte dwie sprawy czyli siewcę wychowania i sprawę poglądu na kierunek rozwijania dziejów, w sposób nie dość świadomy — wychowywanie przybiera kształty jakiegoś przypadkowego, różnorodnego, „liberalnego”. Gdy zaś te sprawy łączymy wprawdzie ale niezgodnie na dalszy bieg rzeczy, na dalszy rozwój dziejów, jest poglądem idealistycznym, pozbawionym wszelkiego materiału rzeczowego, szlucznym i nie-naukowym — wtedy wychowywanie potoczny się może po drogach zupełnie absurdalnych, antyhumanistycznych, nawet wręcz zbrodniczych, jak to się stało na przykład w hitleryzmie.

W praktyce zawsze wychowywanie i nauczanie — bez względu na to, czy dotyczy zagadnień prosłych, czy też bardziej skomplikowanych — musi wiązać się z jakąś ideą, aby spełnić swoje zadanie. Dając dziecku po raz pierwszy widzieć do ręki, aby zjadł nim kaszę z talerza — nie poprzestajemy jedynie na zaprezentowaniu mu poszczególnych przedmiotów, czyli talerza, kaszy, widelca, łyżki i innych przyborów, pozostawiając jego uznanu sprawę wyboru i sposobu jedzenia, lecz dajemy mu wyraźne wskazania. Mamy bowiem ideę sposobu spożywania kaszy. Gdy kształcimy kogoś w dziedzinie kultury plastycznej — nie poprzestajemy na pokazywaniu mu jedynie obrazów w galerii, lecz tłumaczymy mu, że obraz Ciernyckiego jest dobry, a obraz Styki zły. Mamy bowiem ideę dobrego malarstwa. Gdy uczymy ekonomii — potrzebna jest nam również idea jakiegoś najszlachetniejszego dla współczesności i przyszłości porządku ekonomicznego.

Tam, gdzie brak nam idei i poglądu na kierunek ludzkiego postępu — tam wychowywanie i kształcenie brakuje jakiegokolwiek celów. W świecie współczesnym widać wiele przykładów takiego stanu rzeczy. Albo idee są w ogóle nieskrystalizowane, czy niepełne, albo istnieją tylko w pewnych dziedzinach, a nie istnieją w innych, nie tworząc wskutek tego żadnej pomyślanej całości, prezentującej obraz jakiegoś pełnego, szerokiego celu, ku któremu mogłoby zmierzać wychowywanie nowego człowieka.

W tej sytuacji i wśród tych społeczeństw czy grup społecznych, wśród których panuje ów niedostatek ideowy, wyrażający się zagmatwanym obrazem drobnych idei, niepowiązanych ze sobą, nie rewidowanych i nie wyznaczających postępu — słyszy się często od ludzi, którzy na ten fakt przyznają, że wychowywanie i kształcenie powinno być wolne od wszelkich „tendencji” ideologicznych, że nauczanie powinno ograniczać się tylko do prezentowania uczniowi czy studentowi dorobku wiedzy z całkowitym pozostawieniem mu kłopotu wy-

porcji życiowych. Młody działacz polityczny czy państwowy to człowiek 35-cio — a nie 23-cioletni.

U nas sprawy te zabręły tak daleko, że wyjęcie z tej przykrej sytuacji nie będzie wcale łatwe. Trzeba się jednak o nie pokusić. Trzeba kategorię i radykalnie (choć na skutki czekać będzie się długo) odsunąć młodzież od konieczności podejmowania decyzji politycznych, od politycznego deklarowania się — negatywnego czy pozytywnego w stosunku do rządu. Należy wprowadzić młodzież w szkole w zagadnienia polityczne i ideowe, ale nauka ta nie może przybrać nigdy form już nie tylko agitacji, ale nawet tego, co nazywamy wychowaniem państwowym. Musi to być obiektywne i beznamienne referowanie wszystkich istniejących i przeszłych systemów politycznych w całym bogactwie przeróżnych aspektów. Wybór należy do wychowawcy, który go dokona wtedy,

gdy poczuje ku temu niesprowokowaną ochotę. Oczywiście, by tego rodzaju wychowanie mogło osiągnąć pełne rezultaty — potrzebne są dwie rzeczy. Po pierwsze — rozdział władz oświatowych od państwa, na wzór władz sądowiczych. Po drugie — uspokojenie się atmosfery wrzenia politycznego w całym społeczeństwie. O ile pierwsze może być zrealizowane bez trudu (na odcinku wyższego szkolnictwa zasadniczo obowiązuje autonomia), o tyle drugie wymaga lat. Ale tu rysuje tylko pewna kierunkowa.

Cała trudność polega na tym, by instytucje powołane do wychowania — wychowawcy, do kształcenia — kształcili — a nie by obie zmuszały młodzież do polityki.

Gdyż wtedy właśnie zaczyna powstawać zjawisko, na które z takim przerażeniem patrzymy my wszyscy: z „Tygodnika Powszechnego”, z „Kuznicy”, z „Gazety Ludowej” i z „Głosu Ludu”.

Ryszard Kozłowski

bierania i wyciągania wniosków ogólnych. Pomijając już to, że w wielu wypadkach obarczałoby się w ten sposób wychowawca niepotrzebnym trudem powrotnego „wynajdywania prochu” — przeważnie taki „liberalny” postulat jest maską dla takiej własnej bezideowości wychowawców. Proponując ludzi ci — głosząc we własnej obronie ów postulat liberalnego, bezideowego nauczania — muszą przecież choćby nieświadomie liczyć na to, że młodzież, wyposażona w ów „obiektywny” materiał wiedzy, sama znajdzie idee, a więc chcą tylko zważyć odpowiedzialność za kierunek postępu na barki młodszych, działając tymczasem wstecznie i opóźniając postęp. Bo przecież zatrzymanie się jedynie na przekazywaniu w sposób bezinteresowny, bezideowy „obiektywnego” dorobku wiedzy z pokolenia na pokolenie — byłoby zatrzymaniem wszelkiego świadomego i celowego postępu. Niewątpliwie niektórym z tych ludzi także i o to właśnie chodzi: Nie tylko o zrzucenie z siebie odpowiedzialności za przyszłość, ale też o aktywne powstrzymanie ideologicznego procesu budowania dziejów.

W trwodze przed wkraczającymi w sferę wychowania ideami konstruktywnymi i pełnymi, ideami postępu społecznego — ludzie ci odnoszą się z najwyższą niechęcią do jakiegokolwiek centralnego planu wychowywania i nauczania, jak również do państwowego kierownictwa w tej dziedzinie, widząc w tym najpraktyczniejszy w tej chwili sposób upowzechniania ideowości, racjonalnego wzbogacania młodzieży w dynamikę idei. Wolą nauczanie całkowicie swobodne, niekontrolowane — bo takie nauczanie pozwala im na samowolne „chronienie” młodzieży przed ideą, bo takie wychowywanie daje im możliwość zatrzymywania młodzieży w cieniach konserwatyzmu lub — gorzej jeszcze — nienukownych mitów i fantazji, pod pozorami wyposażenia jej w różnorodny wachlarz „obiektywnej” wiedzy, którą w rzeczywistości podają w sposób nie-obiektywny.

Walcząc z wprowadzeniem wyraźnych celów ideologicznych, z wprowadzeniem racjonalnych idei społecznych na teren szkoły — i nazywając to „rozpolitykowaniem” — argumentują najczęściej, że takie idee wysuwane są zawsze przez grupy w społeczeństwie nieliczne, że przeważający odłam społeczeństwa ich nie chce, że to nie są idee „większości”. Co więcej, mówiąc tak, napozór mają słuszność. Racjonalne i naukowe idee postępu społecznego rzadko bywają ideami dostatecznie uświadomianymi sobie przez większość. Z jedną tylko uwagą: że to nie jest żaden argument przeciwko sensowności i wartości społecznej tych idei.

Bo — powiedzmy sobie otwarcie — większość nie zawsze bywa wyposażona w zdolność najtrafniejszego oceniania i doceniania rzeczy, które wynikają z rozwoju jej naturalnych potrzeb. Powoływanie się we wszystkim na nastroje „większości” — to często kapitulacja przed niewyrobieniem i niewykształceniem, albo najstraszliwsza z demagogii. Gdyby się tym kierować na przykład w literaturze — trzeba by w jakości produkcji literackiej nie przekraczać poziomu piosenek Harrisa. Gdyby tym się kierować w malarstwie — trzeba by wyrzec się wszelkich dzieł sztuki lepszych od obrazów Wojciecha Kossaka. Gdyby się tym kierować w wszelkiej pracy naukowej i poznawczej — trudno by było zrobić choć parę kroków naprzód. Gdyby kierować się tylko takim doraźnym osądem większości w ustalaniu logicznych wniosków z materiału faktów gospodarczych czy nawet politycznych — nie łatwo byłoby budować poglądy całkowicie racjonalne.

Tworząc idee społeczne — kulturalne, gospodarcze i polityczne — i chcąc, aby

były racjonalne, opierać się musimy na naukowych badaniach rozwoju społecznego, na wykryciu i wytyczeniu naturalnego kierunku tego rozwoju, zgodnie z faktami, którymi życie społeczne określa się samo, a więc zgodnie z rzeczywistymi interesami większości i rzeczywistymi — choć nie zawsze świadomymi — jej pragnieniami. W rezultacie, jeżeli idee te są słuszne — będą przez większość zaakceptowane, jeżeli zaś są mylne — będą przed jej późniejszą odrzucone. Ale — musimy opierać się na fundamentach rzeczywistych interesów większości, a więc z tej większości wyrastając — mogą nie być przez tę większość odrzucone trafnie formułowane. Gdyż większość nie zawsze widzi jasno drogę swych rzeczywistych interesów, będąc — w atmosferze przyzwyczajenia, przesądów i pozorów — pod przemożnym wpływem chwilowych emocji czy też nierzetelnej propagandy. Dość przypomnieć, że na przykład po pierwszej wojnie światowej większość badając chłopów w województwach zachodnich popierała endecję, której wsteczny stosunek do rzeczywistych interesów chłopów — był nam dobrze znany.

Toteż aktualny w danej chwili nastrój jakiegokolwiek odłamu czy nawet większości społeczeństwa nie zawsze bywa miarodajny. Ważniejsza jest ta opinia publiczna, która tworzy się przy rzeczowym sumowaniu faktów, od tej, która tworzy się emocjonalnie i przypadkowo z dnia na dzień. Nie w każdym momencie jesteśmy dostatecznie świadomi naszych wspólnych spraw. Tak jak w galerii obrazów trzeba włożyć dużo pracy, aby przekonać przeciętną publiczność i rozwinąć jej świadomość, jednym słowem wykształcić ją w kierunku rozumienia wartości i pożyteczności dobrego malarstwa, tak samo kształcić trzeba społeczeństwo w kierunku rozumienia wartości i pożyteczności racjonalnych idei społecznych. Sprawa „zamówienia społecznego” jest czymś szerszym, głębszym i wybiegającym znacznie dalej naprzód, niż aktualne, w danym tylko momencie i na dzisiejszym etapie rozwoju odczuwane potrzeby, choćby nie tylko pozorne, ale nawet rzeczywiste.

Gdy nie myśli się o niemy więcej jak tylko o zaspakajaniu aktualnych i już powszechnie uświadomianych sobie potrzeb — to zaczyna się myśleć coraz bardziej bezideowo. Pragmatyzm amerykański, który w pewnym etapie dziejów tak ważną rolę odegrał, dziś doprowadził Amerykę do stanu całkowitej bezideowości. Wpłynęły zresztą na taki stan rzeczy i inne tamtejsze sprawy. W sumie — społeczeństwo to, tak osobne w bogactwa wszelkiego rodzaju, zaczyna już dusić się (jak widać coraz wyraźniej z tamtejszych czasopism, z literatury i z dochodzących relacji) z braku dostatecznie określonych celów. Jak się to obecnie zawsze dzieje w takich wypadkach — ten nie budujący zbyt wielkich perspektyw stan rzeczy pokrywa Ameryka wobec innych i wobec siebie frazesami o „liberalności”. Ale w świecie współczesnym pełna „liberalność” oznacza pełną „bezideowość”.

Formując poglądy na kierunek rozwoju społecznego i budując idee, trzeba jak najściślej — jeszcze raz podkreślić to chciałbym — oprzeć ten pogląd i tę ideę na prawdziwej naukowej analizie zjawisk i faktów społecznych. Inaczej formowane poglądy i z czego innego wywstające idee — są nieracjonalne, społecznie bezwartościowe, nieuczynne i nie tylko nie wyznaczające postępu, ale często wręcz antyhumanistyczne. Tym się odznaczają przede wszystkim wszelkie idee, wywodzące się z postawy szlucznicy, idealistycznej. Rzeczywiste cele, leżące na rzeczywistych drogach postępu społecznego, objęte być mogą jedynie ideami, budowanymi z najściślej realistycznej postawy wobec świata i jego dziejów.

Idee takie, posiadające postać poważną i rzetelną humanistyczną, idee prawdzi-

*) por. nr. nr. Kuznicy: 9, 12, 14, 17 i 20.

wego postępu społecznego — są nie tylko pożyteczne w szkołach niższych i wyższych, ale wprost konieczne i nieodzowne jeżeli chcemy wychować człowieka dojrzałego do swej współczesności świadomego obciążającego go problemów i rzeczywistości gotowego do przejęcia odpowiedzialności za dalszy bieg rzeczy po obranej, najbardziej logicznej i racjonalnej linii, a nie człowieka, blakającego się przez pół życia wśród krętych ścieżek najrozmaitszych teorii bez określonego stosunku do żadnej. Bo określać swój stosunek można jedynie z postawy ideologicznej — a zmieniać ją w każdym pokoleniu bez historycznie uzasadnionych powodów, to znaczy nie prostować drogi, lecz wyrzucać co chwila historię z jej toru. Historię, która jest przecież dłuższa od życia jednego pokolenia.

Toteż praca nad rozwijaniem historii po określonych torach — powinna być pracą podobną pracy w laboratoriach chemicznych, w których zastępy uczonych często przez pokolenia całe ciągną zharmonizowane wysiłki w obrębie jednej idei, jednego wspólnego celu.

Wstrząs ostatniej wojny miał przynajmniej tę jedną dobrą stronę, że częściowo obalił bezużyteczne, nieracjonalne i bezdeusze formy życia społecznego — i oczyścił z nich teren, w zasadzie ułatwiając w ten sposób odrestaurowanie idei rzeczywistego postępu. Nie powinno się dopuścić do zmmawiania, do utracenia tej szansy. I dlatego tym uważniej patrzmy na uczącą się młodzież, gdyż naszego życia nie wystarczy.

Zresztą sami nie jesteśmy najlepiej. Mimo nieustającej walki o światło racjonalizmu, w której upływa nasze życie — ciągnąc za sobą tradycje wieków, napewno nie całkowicie jeszcze pozbyliśmy się tradycji społecznie szkodliwych, podczas gdy staramy się zachować pożyteczne. Te szkodliwe — odpędzane — przecięt towarzyszą nam jeszcze tu i ówdzie w stylu życia, w sztuce, w uczuciach. Tyle, że umiemy już od dawna lokalizować je, jak chorobę.

Młodzież powojenna jest w innej sytuacji: nie posiada niemal żadnych tradycji społecznie pożytecznych i wartościowych. Są to wyniki warunków, wśród których swe najważniejsze pod tym względem lata spędziła. Wystarczy dobrze się tej młodzieży przyjrzeć i przestudować liczne fragmenty listów, drukowanych na łamach „Kuznicy” w odpowiedzi na pamflet Żółkiewskiego, aby się o tym przekonać. Natomiast posiada ta młodzież pewne zalety praktyczno-życiowe, które skierować się mogą ku złemu lub ku dobremu. I posiada przede wszystkim wielki głód wiedzy, który zaspokoić można w sposób przemysłowy, współczesny i określony idiosow, wychowując tą drogą nowego człowieka, wyzbytego wszelkich mitów i przesądów, ale związanego z historią kultury i jednocześnie dojrzałego do rozumienia idei rzeczywistego postępu.

Pokonanie tego kapitalnego zadania, które całym swym ciężarem nad naszym pokoleniem zawisło i jest szansą nie do odrzucenia, zależy jednak nie tylko od zaplanowania rozsądnego i celowego systemu nauczania. Trzeba poza tym jak najprędzej i za wszelką cenę stwarzać tej młodzieży wszystkich klas społecznych coraz lepsze warunki pracy i życia. Na Uniwersytecie Łódzkim 30 proc. studentów jest chorych na gruźlicę...

Drukowane w „Kuznicy” listy studentów, uczniów i nauczycieli (w Nr-ze 15, 17 i 20-tym) opisują te warunki pracy i życia w sposób wystarczająco realistyczny. Odczuwa się po tej lekturze tym większą troskę i niepokój, że chodzi tu o ludzi, na których bazujemy dzień jutrzejszy. Nienormalnie rozwijająca się przez lata wojny, a dziś ciągle, jeszcze w swej masie niedostatecznie ubrana i odżywiana, stłoczona w ciasnych mieszkanach i bez koniecznej pomocy szkolnej — młodzież z trudem walczyć musi o egzystencję.

Ala nie tylko to uwidacznia się w tych listach. W stopniu znacznie większym, niż żalenie się na warunki materialne, powtarza się tam nuta niepokoju o brak dość jasnych celów, nuta rozterki. Młodzi blakają się po krótkich i krętych ścieżkach bezideowości — i co więcej zdają sobie z tego sprawę. Ta kwestia w każdym liście wybijają się na pierwsze miejsce. I cóż tu mówić o tym, że w szkole należy zamknąć okna przed powiewem wyraźnych, konstruktywnych idei społecznych, kiedy ci, co siedzą tam na ławkach, już dziś trzepoczą się bez tych idei, jak bez powietrza. Widać to w każdym ich słowie. Jest to znak ważny i znak zobowiązujący.

Okres historii, w którym żyjemy, z jego trudnościami i jego ideami — domaga się wychowania nowego człowieka. Dobrze by było, abyśmy nie zbagatelizowali takiego zadania i takiej szansy.

Juliusz Żuławski.

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Głos w dyskusji o młodzieży

I. WSTĘPNA REASUMACJA

Przeprowadziliśmy w „Kuznicy” dyskusję nad sprawą młodzieży dzisiejszej. Miała ona formę nieco inną niż zazwyczaj.

Rozpoczęliśmy pamfletowym artykułem, potem zaś drukowaliśmy listy i głosy bezpośrednio zainteresowanych, t. j. młodych. W tym zaś numerze zamykamy ten spór trzema artykułami. Reasumacja dotychczas wypowiedzianych sądów pozwala stwierdzić, iż sytuacja naszej młodzieży wymaga planowej ofensywy ideologicznej. Podstawowe wytyczne tej ofensywy dałyby się, jak myśle, tak mianowicie:

1) Obiektywne przyczyny spowodowały katastrofalne niedokształcenie naszej młodzieży — to narzuca nam walkę o szybką realizację reformy szkolnej.

2) Z tych samych powodów młodzież nasza nie dorasta do poziomu ogólnoeuropejskiej kultury. Tymczasem tylko sprawne opanowanie subtelnych technik kulturowych, które wykształcił nowoczesny człowiek mogą uzbudzić nasze społeczeństwo do prawdziwie nowoczesnego życia, które echuje wspólnie kulturalną naszych czasów. To wymaga odrzucenia natychmiast separatyzmów, które przynosi ideologia odrębności kultury ludowej.

3) Młodzieży naszej brak krytycznego, naukowego poglądu na świat, często nie znajduje ona we współczesności tych wartości, które będąc źródłem prawdziwie ludzkiego entuzjazmu i usprawiedliwieniem równie ludzkiego oburzenia, są jednocześnie czynnikiem kształtującym charakter. Musimy młodzieży otworzyć oczy na te wartości, obok których przechodzi obojętna i nieświadoma.

4) I wreszcie brak tej młodzieży umiejętności sądzenia spraw ludzkich, brak określonych gustów kulturowych, to ją dyskwalifikuje jako twórcę nowych wartości, nowych hierarchii wartości, nowego stylu życia. To zaś wymaga zmiany potocznych poglądów na rolę myślenia politycznego, zmiany poglądów na ideał życia kulturalnego.

Na te tematy chcę prosić o zabranie głosu w dyskusji.

II. TECHNIKA REALIZACJI

Wiele już pisano o naszym planie reformy szkolnej. Jej zasadnicze wytyczne są właściwie uzgodnione powszechnie i dobrze znane. Postulaty demokratyczności, powszechności, jednolitości i bezpłatności są ogólnie przyjęte. Nie będą tu o tych sprawach ustrojowych wracać. Pragnę natomiast zastanowić się, jak przygotowana reforma może zmienić nasz typ życia kulturalnego.

W prasie naszej („Sztandar chłopski” i „Kuznica”) przeprowadzona została dyskusja na temat techniki urzeczywistnienia reformy szkolnej, tempa likwidowania szkół niżej zorganizowanych, wprowadzania ośmiolatek i nowych programów, przynoszących rudymenty nauczania systematycznego.

Publicyści „Sztandaru chłopskiego” proponowali dopiero wtedy realizować nauczanie ośmiolatek, kiedy będzie można równomiernie podnieść poziom szkół na wsi i w mieście, aby nie pokrzywdzić wsi. Rozumowanie to spotkało się z krytyką publicysty „Kuznicy”: ten mniemał, że sztucznie powstrzymywanie procesu podnoszenia poziomu szkół w ośrodkach, które mają odpowiednie do tego warunki techniczne, jest błędne. Procesów społecznych, które dojrzały, nie da się sztucznie powstrzymać. Miasto będzie górowało siłą swego wyższego uzbrojenia technicznego i cywilizacyjnego. Nie mając ósmej klasy szkoły powszechnej, zapewnią będzie pierwsze klasy gimnazjalne, rozbudowywać chaotycznie samym parciem nieugiętych sił emancypacyjnych szkoły średnie. A bezpłatność zawsze jest szkodliwa. Natomiast rozbudowywanie z rozmachem ośmiolatek, odrazu wszędzie tam, gdzie jest możliwe, choćby narazie uprzywilejowało miasto, wyjdzie w rezultacie wsi na dobre. Gdyż właśnie automatycznie podciągnie stan organizacyjny szkoły wiejskiej, która będzie musiała nadążyć za miastem. Narzuca to plan jednolitej szkoły. Tymczasem poniechanie szybkiego tempa reformy spowoduje, że górujące miasto znajdzie sobie formy awansu szkolnego nieprzewidzianego w planie jednolitej szkoły — co jeszcze pogłębi istniejący dystans między wsią a miastem. Tymczasem zaś jest to podstawowy zamierzony rezultat reformy szkolnej — zmniejszyć i wreszcie zlikwidować ten dystans kulturalny. Jest to podstawowa — konieczna dla normalnego rozwoju narodu — zmiana typu dotychczasowego polskiego życia kulturalnego.

III. KULTURA LUDOWA

Ma to w konsekwencji dać jednolitość kulturalną kraju. Ma przelamać ciasne szranki folkloru na wsi, najniżej kultury ludowej. — Podciągnąć ogół społeczeństwa do poziomu kultury ogólnonarodowej i tym samym ogólnoludzką, zbliżyć masy wiejskie do tradycyjnego dorobku kulturalnego Europy w jego najdoskonalszych przejawach. Sens pozytywny tego jest zarówno ściśle kulturalny jak i społeczny.

Obróńcy tradycyjnej kultury ludowej zwykle podkreślają odrębność psychiki wiejskiej

i miejskiej, radząby kopać przepaść między interesami wsi i miasta, między dążeniami jednych i drugich środowisk.

Ten zasadniczy separatyzm jest nie tylko fałszywy teoretycznie, ale jak zwykle zawiera błąd szkodliwy społecznie. Ci sami obrońcy kultury ludowej widzą w niej szczególnie cenne przejawy „ducha”. Mniemają przy tym, że ta szczególna duchowość chłopca kształtuje się pod wpływem prymitywnych warunków życia, które oni nazywają „obcowaniem z naturą”. Chcąc zachować skutek — cenną odrębność ducha chłopca i jej bezpośredni wyraz — kulturę ludową, muszą dążyć do zachowania i przyczyny — prymitywnych warunków życia. Tak też dosłownie pisze autorytatywny ideolog tego kierunku, St. Pigoni, w ostatnio wydanej książce „Zarys nowszej literatury ludowej” (str. 13—28). Wrogiem im jest techniczne i cywilizacyjne dobrodziejstwo, industrializacja wsi. Lekają się bowiem wtedy zaniku tak cennej dla nich odrębności kultury ludowej, źródła skarbow duchowych. Tymczasem całe to rozumowanie jest błędne. Cała ta ideologia jest fałszywym prorocstwem. Stan naszej wiedzy o kulturze jest dziś taki, że nie pozwala nam przyporządkowywać w sposób konieczny określonym wytworom kulturowym pewnych zawsze tych samych treści duchowych. Przeciwnie, doświadczenie nam mówi, że wytwory kultury wraz z upływem czasu wiążą się dla nas z coraz to innymi treściami duchowymi czy znaczeniowymi. To, co w pewnych warunkach mogło uskrzydlić i uwznioślić człowieka, w innych warunkach, w innym czasie może być źródłem rozterki i duchowego zastój. Rajowska obrona systemu pańszczyźnianego, postępową na swój czas — już w XVIII wieku była źródłem innych zgoła podnieć duchowych — wychowywała nie nowatorów lecz wsteczniaków. Cieniętnictwo naszych romantyków było źródłem sublimacji duchowej dla pokoleń połowy XIX wieku; dla ludzi epoki Wypiańskiego i Nowaczyńskiego, jak świadczy ci pisarze, było źródłem zakłamania i marazmu duchowego.

Współczesna wiedza o kulturze nie pozwala w sposób jednoznaczny przyporządkowywać pewnych procesów życiowych i związanych z nimi psychicznych określonym procesom twórczości kulturowej. Nie można twierdzić, że jest jakiś związek przyczynowy między prymitywnym gospodarowaniem chłopca, jego przeżyciami psychicznymi i formami jego twórczości kulturowej. Przeciwnie, badacze wiedzą, że kultura ludowa raczej wywodzi się z nieudolnego naśladowania przypadkowo napotkanych dzieł kultury dojrzałej, ogólnonarodowej, dzieł kultury klas uprzywilejowanych, które dysponują techniką działania kulturowego na danym poziomie historycznego doświadczenia ludzkości. Na tak więc wiatlych przesłankach nie wolno nam opierać programu kulturalnego, który w konsekwencji chce konserwować wieś na prymitywnym poziomie cywilizacyjnym dla więcej niż wiatlych korzyści „duchowych” i który chce utrwalac rozdział między wsią a miastem. Rozdział, uwarunkowany nie odrębnościami psychicznymi, lecz stałym w ustroju kapitalistycznym przeciwieństwem interesów miasta i wsi wobec opóźnienia się w rozwoju ekonomicznym rolnictwa w stosunku do przemysłu, co jest zjawiskiem właściwym ustrojowi kapitalistycznemu, a co pociąga za sobą wyzysk wsi przez miasto (słynne nożycy cen!).

IV. SPRAWY UMYŚLU I CHARAKTERU

Zadaniem reformy szkolnej jest upowszechnienie dojrzałej ogólnonarodowej kultury. Będzie to jednocześnie koniecznym społecznie powiązaniem szkoły z życiem i jego potrzebami. Skuteczny system wychowania musi bowiem być tak pomysłowy, aby przystosowywał młode pokolenia do najpilniejszych zadań, które stawia przed społeczeństwem potrzeba historyczna. Dla nas jest tym zadaniem podciągnięcie cywilizacyjne naszej wsi, jest intensywny rozwój techniki w kraju — abyśmy mogli szybko i sprawnie odbudować bezprzykładne straty wojenne i zagospodarować obszary Ziemi Odzyskanych. To są trudne. Ale ich wielorakich konsekwencji w polityce kulturalnej, polityce oświatowej, w ideologii — nie chce się widzieć!

Przed wszystkim nie docenia się podstawowego negatywnego osiągnięcia w polityce szkolnej. Oto definitywnie weszliśmy na drogę pełnej eliminacji elementów faszystowskiej ideologii w programach, podręcznikach i praktyce szkolnej. Kto pamięta jak groźne były w naszej szkole postępy demoralizującego wp-wwu faszystowskiej ideologii przed 1939 r., dla tego nigdy to osiągnięcie nie będzie dość podkreślone.

Najistotniejszą wartością, którą przynosi nam reforma szkolna upowszechniając nauczanie systematyczne — jest poszerzenie i unowocześnienie horyzontów kulturalnych. — Wyrazem tego są nowe programy i podręczniki. Wzbogacona została wiedza młodego pokolenia, ujawnione szczególnie cenne treści dla realistycznego, krytycznego, racjonalnego myślenia. Wymięto elementy wiedzy ekonomicznej, społecznej, przez wprowadzenie prehistorii pokazano człowieka we właściwej perspektywie. Rozbudowano dział nauki ścisłych. Dano masom potężne narzędzie walki o postęp: rzetelne treści poznawcze.

Nauka była od egipskich czasów dobrem źródłem strzeżonym przez uprzywilejowanych. Masom dawało się jej srogą, wiele natomiast tresury zwanej urabianiem osobowości. Nowa szkoła zamiast zalewać potopem pseudowychowawczych czytańek, przygotowuje do rzetelnej wiedzy o świecie, społeczeństwie i prawach nim rządzących.

Wytyczne ideowe naszej reformy szkolnej są zapowiedzią historycznie koniecznego i właściwego przeobrażenia człowieka w Polsce.

Tyle o treściach intelektualnych, którymi ma operować nowa szkoła. Lecz wiemy, że najwięcej niepokoju budzi wątpliwość, czy ta szkoła będzie miała dość bogate treści moralne, bez których kształtowanie charakteru, a nawet i umysłu, nie jest możliwe; sama bowiem wiedza nie starczy, nie jesteśmy przecież maszynami do myślenia i poznawania.

Szukanie tych źródeł moralnych wychowania, to jednocześnie droga do sformułowania zadań, jakie reforma szkolna i rzeczywistość polska stawia przed nauczycielem.

Twierdząc, że: obraz dzieł, spraw i dażeń, którą są budowaniem wolności i szacunek człowieka w Polsce, które są emancypacją wsi, gospodarowaniem społecznym, odpowiada najgłębszym historycznym potrzebom reformy w naszym kraju.

Twierdząc, że to wszystko, o co walczyliśmy i z czym walczyliśmy, winno i może być źródłem najbardziej ludzkiego i godnego naszych czasów entuzjazmu i oburzenia.

Twierdząc, że związane młodego pokolenia z tymi dziełami i zamierzeniami winno i może być źródłem moralnej doskonałości charakterów.

V. ABSOLUTNE I HISTORYCZNE

Żłudna i zbyt dumna ambicja dla człowieka jest szukanie absolutnych, niezmiennych, pozahistorycznych norm i źródeł siły moralnej. Winniśmy się z całej pokora nauczyć cenniejsze historycznie zmienne ideały, bo odpowiada to godności ludzkiej, takiej, jaką posiadamy. Człowiek nie jest tak godny, aby był bogom równy. Obca mu jest niezmiennosc. Ale właśnie historyczność stawiania się — jest najbardziej ludzka.

I doprawdy myślę, że dano nam już niejednokrotnie świadectwo pięknych przeżyć moralnych związanych ze zmiennym historycznym szczęściem i niedolą. Dla wyzwolenia z siebie wewnętrznych sił człowiek nie potrzebuje absolutu. Bardziej mnie porusza, silniej budzi entuzjazm i gniew obraz rzeczywistych, historycznych celów, aniżeli fałszywa, mitologiczna fikcja wiecznych dażeń. — Czy w istocie głębsza, boleśniejsza, lub wznioślejsza jest mitologiczna tragedia ludzkiego życia — rzeczy najbardziej kruchej ze wszystkich, rozpiętej między dwiema wiatliwymi otchłaniami; niebem i piekłem? Czy tylko takie pascalskie sformułowanie może być źródłem moralnych przeżyć? A czyż nie głębiej nas dotyka tak niewątpliwie prawdziwa tragedia człowieka naszego czasu — że jest niewolnikiem swego dzieła? Że panuje nad jego wola, sumieniem, indywidualnym poczuciem sprawiedliwości żelazne prawa przez tegoż człowieka stworzonego systemu produkcji? Że sama odrazą do krzywdy ludzkiej nie potrafi odwrócić zła kryzysów, bezrobocia, wyzysku?

Odrza do tego, po marksowsku określonego niewolnictwa człowieka wobec jego własnego tworu i dążenia do osiaganej planowej zmiany tego stanu rzeczy — sądzę, że może właśnie silniej uskrzydlić dzisiejszego człowieka.

Dażenia demokracji polskiej są dążeniami wyrosłymi z tradycji ruchów ludowych, z tradycji ich stuletniej walki klasowej. Z tradycji Gromady Grudziądz, Ściegiennego, Dąbrowskiego, Waryńskiego, roku 1905, ruchu ludowego początku XX wieku. Odrodzona Polska tworzy się według myśli wyrosłej z dażeń chłopskich i robotniczych. Nauczyciel, wiążąc się z nimi, winien prace wychowawczą podjąć w duchu potrzeb tego budownictwa.

A potrzebna jest śpieszna decyzja. Czas nagli. Nagli zwłaszcza sytuacja młodego pokolenia. Przeżyte przecież ciężki wymagają świadomej pracy, jeśli to pokolenie ma być w pełni wyzyskane dla tych najpilniejszych koniecznych zadań.

VI. SYTUACJA MŁODZIEŻY

Zastanówmy się nad sytuacją tej młodzieży! Jedno da się powiedzieć ze smutkiem: Szkoła polska, jeśli idzie o jej treść wewnętrzną, pozostaje w tyle w stosunku do innych instytucji życia zbiorowego. Na niekorzyść szkoły wypadnie porównanie z fabryką czy organizacją gospodarczą chłopską. Ta fabryka i „samopomoc” dziś urabia ludzi. — To one w swoim działaniu traflają na konieczne źródła entuzjazmu i oburzenia. I prawa tego działania — odkrywają zasadę moralnego ukształcenia. Jest to jasna dla każdego prawda! W tym zestawieniu szkoła zostaje daleko w tyle. W jej życiu wewnętrznym czuć obcość i niezrozumienie współczesności, widać nieprzystosowanie do życia, lek, martwość, jałowość, skostnienie rutyny. Tak jest nawet wtedy, jeśli historii i geografii nie

wykłada się z przedwojennych podręczników. Wystarczy, jeśli tego wykładu historii nie ożywia takie rozumienie procesów dziejowych, by jasno pokazywały dotąd przemilczany sens historii, sens krzywd i walk. Tak przemilczany, że w Polsce inteligencja ani razu nie wydała dość silnej grupy, która by się wyraźnie upomniała o krzywdę ludową. Sens, któremu wyraz dawał u nas nieelżni, nallepi — Leleweł, Worcell, Dembowski, Krzywicki, Abramowski, Żeromski, Nałkowski, Czarnowski.

Nieporozumieniem jest wychowanie tej młodzieży w duchu apolityczności. To znów jedno z hasel humanitaryzmu, nieludzkiego w dobie walki — utrzymać ludzi bez broni, aby ich uchronić przed udziałem w zbrodni. Inaczej znaczy to przygotować ich na ofiary zbrodni. W istocie bowiem hasło apolityczności — to oddawanie młodzieży na żer reakcji. Upolitycznić — to znaczy nauczyć rozumieć i pojmować procesy społeczne, nauczyć je oceniać. Odsunąć zaś od polityki — to dzisiaj znaczy odsunąć od ruchu ludowego. Wychować tę ciałę jeszcze w wieksości inteligencja z pochodzenia młodzież w tradycyjnej atmosferze mieszczańskiego przesądu politycznego. Przesądu, który saczy każdy dzień, a z którym jest jedna metoda walki: uświadczenie polityczne, odrzucenie hasła rzekomej apolityczności. Tylko reakcji wygodnie jest mieć bezmyślne pokolenie, idące na lep każdej tradycyjnej bredni, pokolenie niezdolne do krytycznej rewizji zastanych w rodzinnym salonie przesądów, nie nauczone politycznego myślenia.

Nieporozumieniem jest także unikanie w wychowaniu młodego pokolenia wyraźnych upodobań kulturalnych, wyraźnych hierarchii wyborów, które pawne wartości odrzuca jako jej obce, rzekoma kultura eklektyzmu, która zewsząd zbiera wszystko, co dobre, która jest umiarkowana, unika entuzjazmu i krawowości. To znów próba obezwładnienia młodego pokolenia. Trudna epoka wymaga od nas konsekwencji. Tylko w okresach czasowego zastoiu możliwy jest taki eklektyzm. Dzisiaj właśnie wybór jest naszym przeznaczeniem.

Wielkim zadaniem, jeśli mają być spełnione, musi towarzyszyć konsekwentna świadomość celów i dążeń kulturalnych. Nikt nie przeczy, że takie właśnie mamy zadania i musimy technicznie sprostać potrzebom zdevastowanego kraju, a kulturalnie dorosnąć do koniecznego poziomu technicznego życia, sprawności, produkcji. Hasło skrzętnego gromadzenia „obiektywnych” encyklopedycznych zbiorów — zamiast jednolitej kultury z wyboru — jest i w tym świetle zamaskowanym hasłem politycznych bankrutów.

Dla przykładu: konsekwentna walka z szlachetzną kształtującą gust kulturowy w tym kierunku, przekształca nawet aktualne upodobania walczące, buduje nowego człowieka. Eklektyczne odrzucenie takich wyśoiowych konsekwencji pozwala na leniwą tolerowanie przeżytków odrzuconej przeszłości w takiej czy innej formie. Sprzyja wewnętrznemu lenistwu, nieczułości, która toleruje wszystko, nie brzydzi się niczym, żyje drobny mi naskórkowymi reakcjami, niczego naprawdę głęboko nie chce.

Oczywiście czym innym jest przemyślany szacunek dla tradycji kulturalnej. Szacunek dla tradycji, jeśli nie ma być, jak uczy historia, jałowym Aleksandryzmem — nie może opierać się na eklektycznym wybieraniu tego, co mi się w danej chwili podoba, co zapakują kapryśny smak. Musi być oparty na wyborze — odrzucającym konwencjonalny balast starzyzny, na wyborze, który odwołuje się do kryteriów równie sprawdzalnych jak kryterium technika, co odrzuca zwiętrzałe cegły — a wybiera przeciwie dobre ze starych ruin do budowy nowego domu.

Eklektyzm nie jest wyborem rozważnym — jest właśnie lekceważeniem wyboru. Bo rozważa właśnie nakazuje sumienne i krytyczne ustalenie zasady wyboru. I konsekwentne jej przestrzeganie, aby uniknąć błędów subiektywnego braku stałości i równowagi. — A wybór w kulturze jest ważny, on to bowiem umożliwia obronę przed rutyną i przesadami. Jest warunkiem postępu.

Musimy nauczyć młodzież naszą wybierać model przyszłej kultury. Nie da się tego uczynić bez związku szkoły z życiem społecznym i jego żywą problematyką. Nie można więc izolować młodzieży, przeciwnie, trzeba ją nauczyć politycznie myśleć i krytycznie wybierać swoje ideały kulturalne: trzeba jej dać nowy pogład na świat. Pogład na świat, wyrosły z potrzeb naszego kraju i czasu. — Pogład na świat wyznaczony przez tradycję przodujących dziś ruchów ludowych. Nikt nie zaprzeczy, że szkoła nasza w swej treści nie przyswoiła sobie jeszcze tego pogładu na świat. Jest to jej brak kardynalny. Jest to groźba dla przyszłości młodzieży. Zmiana tego stanu rzeczy stanowi pilne zadanie dla nauczycieli: jest naprawdę nakazem rozumu, patriotyzmu i przecież szacunku dla człowieka w Polsce. Młodzież nie może być chowana w sztucznym odcięciu od rzeczywistości (pogarda dla starożytności, treści ruchów postępowych). — Iako zmęczona życiem (leniwo eklektyzm kulturalny), jako naiwne konformistyczna (brak klimatu nowatorstwa w szkole).

Groźnym ostrzeżeniem jest niespodziewane odradzenie się najgorszego typu młodzieży polskiej: korporanta. Sygnalizują to gazety od czasu do czasu; na tle zaś głębokiej demoralizacji wojennej nie jest to w środowisku mieszczańskim ani nieoczekiwane, ani niemożliwe.

VII. ZAKOŃCZENIE

Kończąc te nauczycielskie rozważania. Niech mi wybaczy czytelnik tę gorączkową rety-

rykę. Ale w tym właśnie wyraża się dokuczliwe uczucie — że przesyłamy sprawę. Oto znów nie wszyscy Polacy, którzy powinni skupić się wokół dzieła reformy zajęci stanowiska. Jakże bym chciał, by za lat pięć mogła powstać o tym pierwsza w naszej historii radosna książka. Bo tyle już mamy dzieł zrodzonych z zapóźnień żalów, samotnego zrozumienia błędów, niewczesnej rozpacz. I zbiorowa książka drezdeńska o konstytucji 3 maja i Mochnackiego dzieło o po-

wstaniu listopadowym, i smutna puścizna Nałkowskiego, i gorzki wydzwięk „Przedwiosna”... Bilans zmarnowanych młodości. — Wszyskim przemawia za tym, że tej jednak reformy kraj nasz nie prześni. Możemy już na szczęście liczyć na cyfry osiągnięć — nie tylko na dobre nastroje. Chodzi jednak o to, aby uczestniczyć w tym wszystkim inteligent polski. Aby uczestniczył pełnoprawnie.

Stefan Żółkiewski

ANTONI BOHDZIEWICZ

Gdzie filmowy Achilles ma piętę?

Pragnę odpowiedzieć na artykuł Jerzego Toeplitza, jednego z dyrektorów Filmu Polskiego, zatytułowany: „Scenariusz — piętą Achillesa polskich filmów” („Robotnik” — 31. III).

Rację ma Toeplitz, kiedy pisze „Pierwszym grzechem Biura Scenariuszy było, że gromadzone materiały bez metody i raczej przypadkowo. Nawiązywano wprawdzie kontakty z ludźmi, ale nie wysiłano się zbytnio, by wszystkich sprawą tą zainteresować i nie uderzono do Związków Zawodowych Literatów, prosząc o czynną pomoc. Raczej czekali na chętnych, niż ich szukano... Może nie dość energicznie stukano do właściwych drzwi... Można było bardziej intensywnie i przekonywująco prowadzić akcję uświadczenia-propagandową — podkreślając czego „Film Polski” domaga się od literatów piszących scenariusze...”

Dziękuję! To właśnie woda na mój młyn, w którym od listopada miałem te same prawdy. Nie ma racji natomiast Toeplitz w pozostałej partii swych wywodów.

CO TO JEST „DOBRY SCENARIUSZ”?

Główna teza Toeplitza jest taka: „Bez dobrych scenariuszy nie będzie dobrych filmów — to mruwano w świecie filmowym akxiomat... Pięknie! Ale apodyktyczność tego sądu okaże się diabła warta, jeśli nie potrafimy zgodnie ustalić definicji pojęcia „dobry scenariusz”. Jeśli „dobre” dla Toeplitza znaczy np. zielone, a dla mnie — czerwone, to kto z nas dwóch ma rację? Konkretny przykład: ja uważam np. scenariusz Toeplitza o Moniuszce za bardzo zły, a Toeplitz to samo mówi o moim scenariuszu „7 adresów”. I co dalej? Zwolac innych? Owszem, można. Ale inni także podzielią się na dwie grupy! Zawsze! I nawet jeśli tych, którzy pochyla po rzymsku palec w dół, będzie więcej, a obrońców — tylko mała garstka, to co? Czy ten ilościowo wygrany plebiscyt może decydować w „Sztuce”? Bynajmniej! Autorzy krytycy — mają prawo do sporów i prowadzą je od wieków. I jedno tylko potrafi spór zamknąć: gotowe, skończone dzieło. A i „zamykanie sporu” wymaga jeszcze czasu. Bo dzieło, jeśli ma być pozycją trwałą — winno zostać w pamięci ludzkiej na dłużej. To „dłużej” jest oczywiście względne i dla filmu najkrótsze, ale tym niemniej istnieje. W każdym razie — do chwili urznięcia pomysłu w jego ostatecznym kształcie (a jest nim film!) — wszelkie zbyt długie dyskusje będą jałowe. Będą właśnie owym „maglem”, o którym wspomina Toeplitz, tylko że go niepotrzebnie broni.

To pierwsza uwaga. A druga: co właściwie nazywamy samym scenariuszem? Umówmy się! Czy to jest autonomiczne dzieło, nowy gatunek twórczości literackiej, jak chcą tego Ford, Bossak i zdaje się także Toeplitz? Słowem, czy scenariusz znaczy tyle, co literackie wydanie sztuki teatralnej, albo partytura muzyczna? Czy też przeciwnie: scenariusz jest tylko półfabrykatem, tylko wewnętrznym dokumentem w prac nad filmem, nie mającym samodzielnego życia?

Zdania i tu są podzielone. Owszem, istnieje ambilna tendencja, żeby scenariuszowi w tej formie, w jakiej go dostarcza literat, przyznać artystyczną autonomię. Obrońcy tezy, że scenariusz filmowy jest nową formą dramaturgii, tak przemawiają:

„Jest to sztuka tworzenia w wartościowym literacko utworze (?) opowiadania, które swoimi rozmiarami, strukturą, rysunkiem postaci, wyborem środków ekspresji — opiera się o specyfikę kina. Dramaturgia kinowa tak pojęta, stając się częścią poetyki narówni z dramaturgią sceniczną, łączy się też z drugą stroną z „teorią budowy” filmu, z teorią kinowej reżyserii... Nowa ta forma literacka ma prawo do samodzielnego istnienia przed i po realizacji filmu, niezależnie od niej... Można sobie wyobrazić, że taki scenariusz doczeka się nie jednej, ale kilku realizacji, coraz to innych... Scenariusz literacki jest autonomicznym dziełem sztuki!...”

Do twierdzeń tych musimy się odnieść krytycznie. Założenie, że scenariusz filmowy musi być „literacko wartościowy” jest dla mnie niesłuszne. Nie to jest filmowi potrzebne!

„Narówni z dramaturgią sceniczną... Ale przecież sztuka sceniczna składa się z dialogów, to jest ze zdań i zwrotów, które odrzuca są ostatecznym kształtem treści! Trzeba je tylko wypowiedzieć, albo przeczytać. Tekst sztuki jest utworem literackim bez względu na to, czy sztukę pokazano kiedyś w teatrze czy nie pokazano! Tak zwane zaś „uwagi dla reżysera”, to co autor pisze o dekoracjach, ruchach postaci itp., to zajmuje w tekście sztuki bardzo mało miejsca, pisane jest często językiem prostszym, np. mową nieważną, kiedy dialogi podane są wierszem, a zdarza się często, że jest to prosto konwencjonalny organ szkatkowy, niktgo nie obowiązujący. Konkretyzować tych „uwag” bez pomocy dia-

logu — nie potrafi ani czytelnik, ani teatr, bo istota rzeczy jest schowana w tym, co o postaciach mówią, a nie — z którego miejsca, w jakim kostiumie itd.

Zupełnie inaczej jest w scenariuszu filmowym. Tutaj — dialog jest zawsze rzeczą drugoplanową i nie raz zajmuje bardzo mało miejsca. Tutaj — na pierwszy plan wysuwają się właśnie „uwagi dla reżysera”, tj. opis przyszłych zdjęć, tego, co ma być pokazane! Ale opis ten w realizacji filmowej zupełnie znika, rozplywa się w materiale konkretnych wygładów, w tym co przyniesie praca jak libretto baletowe i scenariusze komedii del’ arte, scenariusz filmowy jest tylko notatnikiem pomysłów, nie raz bardzo dokładnym i ciekawym, ale nie posiadającym jeszcze praw do rangi utworu dramatycznego! Dla kina nie jest wcale ważne, czy scenariusz jest pisany „pięknym językiem literackim”, podobnie jak nie ma żadnego znaczenia dla teatru, jakim językiem są pisane w tekście sztuki „uwagi dla reżysera”.

Tylko więc na upartej i tylko umownie — można mówić o scenariuszu jako o nowej formie beletrystycznej. Nic w niej oprócz pozorów z kina nie ma, nie a nie! Słowo „scenariusz” jest tutaj tylko uniezwykłym, jakie autor stosuje, żeby zabawić, przyciągnąć czytelnika. To znaczy, może sobie ktoś, jeśli się uprze, napisać opowiadanie w formie scenariusza i wydrukować to potem w książce. Tak napisał Jules Romains swoją „Donogoo-Tonka” (rzecz zabawna — zrobiono potem z tego nie film, ale właśnie przedstawienie teatralne), formy tej użył Wells, u nas Brzekowski. Wątpię, czy tej „modzie” można wróżyć powodzenie, a wcale nie wątpię, że nie można tu mówić o jakichś nowych i trwałych wartościach artystycznych. Forma „scenariusza” jest tutaj uniezwykłym, ale takim, które w samym założeniu wprowadza coś sztucznego: używa się jako ostatecznego kształtu formy, która wciąż jeszcze odsyła czytelnika do wizji na ekranie, tj. do innej sztuki, niewyrażalnej w słowach! W dodatku — forma obiecana, a nie dana! Jest to dla autora bardzo wygodne: skoro opis jest tylko „projektem zdjęcia”, to może być mniej staranny. Pracuje się tu w pewnym stopniu na cudzy rachunek. Ale rachunek jest bez pokrycia, bo przecież wizji na ekranie nie ma i nie będzie! Itd...

Czym więc jest scenariusz filmowy? Powiedziałbym: notatnikiem pomysłów, ruda do przeróbki, która weźmie w swe ręce właściwy autor filmu, reżyser. I jedynym kryterium, jakie moglibyśmy tu bez kłami zastosować, jest następujące: wymaga się od scenariusza pewnego procentu filmowości, którą zdefiniować możemy dość łatwo i którą zdolny autor filmowy samym nosem wyczują. Ta właśnie „filmowość” materiału zdecydował o tym, że z danego scenariusza wyjdzie naprawdę porcja kina, a nie „teatr na płótnie”, czy ilustracje do powieści typu Andriollego.

Kiedy słysze: „Robinson warszawski” — historia ludzi ukrywających się po powstaniu w martwym mieście, to ja filmowiec — od razu wiem: tak, to jest wspaniały temat dla kina! I wtedy biorę najlepszych jakich mam ludzi do roboty (autorów i reżysera) i już się nie waham, wale na całego zaprudzić! I wtedy nie przestraszam mnie możliwością pomysłu czy potknięć, bo są w każdej pracy one niemięknione. Ale założenie: wyjdzie z tego film pełen „filmowości” — jest tutaj nie do zbicia, chyba, że zadanie da się do wykonania analfabeta. Jeśli się jednak reżyserowi choć trochę ufa, to koniec. kropka, żadnych większych gwarancji nie wymyślił. Film może będzie doskonały a może tylko poprawny, to już zdolności odpowiadają pewnemu minimum — zależy od zdolności autorów. Jeśli jednak to film nie może być zły!

Dlatego niepotrzebnie Toeplitz spycha „atmosferę filmową” na jakies szare miejsce, mówiąc: „(w nadesłanych pomysłach) zupełnie mylnie i niepotrzebnie akcent został postawiony na to, co się nazywa atmosferą, a co jest czynnikiem interesującym w dziele filmowym, ale bynajmniej nie zasadniczym, jeśli chodzi o pierwsze jego stadium, tzn. scenariusz...”

Jakże teraz wygląda toeplitzowski aksiomat? Jakie poprawki należy doń wprowadzić? Jeszcze chwileczkę!...

KONSTRUKCJA DRAMATYCZNA CZY MOŻE TAKŻE INNA?

Cytuję dalej Toeplitza: „...reassumując, nie ma (tu) elementów klasycznych, jakich wymagamy od dramatu, bez względu na to, czy chodzi o powieść, czy o sztukę sceniczną...”

„Bez względu na to” — bardzo mi się nie podoba! Bo elementy klasyczne, jakich domaga się Toeplitz, to właśnie owa „konstrukcja dramatyczna”! To jest ten św. Antoni Padewski, od którego oczekuje się cudu i absolutnych kryteriów dla oceny scenariusza! Prze-

praszam, nie zgadzam się! Konstrukcja — tak! Celowe ułożenie zebranych elementów w rozsądną całość — tak! Ale nie koniecznie i nie zawsze — konstrukcja dramatyczna! Poco ograniczać w samym punkcie wyjścia inwencje autorskie? Pomijam już filmy o charakterze impresyjnym, dokumentarne i nadrealistyczne gdzie nonsens takiego ograniczenia jest oczywisty, ale i w filmie — opowiadaniu „konstrukcja dramatyczna” nie jest bynajmniej conditio sine qua non!

Jak to zagadnienie wygląda w powieści? Powieść może nie mieć budowy zwartej, wyraźnej dramatycznej. Może być wielopłetwym gmachem, labiryntem, szeroko płynącą rzeką (roman fleuve), wielką Summą obserwacji autora nad dolą i niedolą człowieka. Ale czy to znaczy, że powieść taka ma niższą rangę artystyczną, jak pisał Paul Bourget? Napewno nie. Zresztą trudno jest określić ogólne prawa kompozycji. Mamy wiele rodzajów powieści, a każdy z nich ma inny plan budowy. Szukając z uporem ogólnych kanonów, moglibyśmy co najwyżej powiedzieć: dbać należy o porządek, ład, o pewną równowagę elementów, o jasność. Całość musi być rozumną całością, a nie przypadkową składanką.

Żeby więc zasady kompozycji powieści określić dokładniej, trzeba dokładnie wiedzieć, o jaki rodzaj powieści chodzi, trzeba powieść podzielić na jakieś grupy. Zróbmy to!

Trafnym wydał mi się podział, jaki czyni Thibaudet w swych: „Reflexions sur le roman”. Dzieli on powieść na trzy wielkie rodzaje: powieść surową (le roman brut), która maluje całą epokę, dalej powieść bierna, która opowiada o życiu ludzi i wreszcie — powieść aktywna, która z życia wydziela jakiś konflikt i nim się tylko zajmuje.

Epoka jest czymś bardzo złożonym, wielowarstwowym. Żeby ją w powieści przedstawić trzeba dać również złożony obraz wszystkich sił, jakie w niej nurtują, rytm życia społecznego, które wykracza daleko poza życie jednostki, trzeba umieć wykręcić różne aspekty mijania czasu. Oto powody, dla których powieść „surowa” nie ma kompozycji przejrzystej, dramatycznej, cłaocią i tutaj znajdziemy rozumną organizację chaosu życia. Nie widać jej z bliska, ale widać ją „z lotu ptaka”.

Powieści biernej — plan budowy dyktuje samo życie bohatera czy bohaterów. Jedność i ciągłość takiej powieści zawiązujemy jednością i ciągłości życia ludzkiego. To samo dotyczy czasu trwania. Taka powieść również wypełnia przestrzeń i czas swobodnie, płynnie powoli, jak szeroka rzeka.

Powieść aktywna, w odróżnieniu od poprzednich rodzajów — otrzymuje swą kompozycję od samego autora. Izolując jakiś konflikt, nie można się już oprzeć ani o jedność i ciągłość epoki, ani o jedność i ciągłość życia ludzkiego, ale trzeba wydzielić z życia epizod wkomponować w ramy budowy odrębnej, wymyślonej i stworzonej przez samego autora. I ten właśnie gatunek powieści powinien mieć kompozycję zwartą i przejrzystą. I tutaj zarząd krytyków wytykających „złą kompozycję” ma swoją wagę. Ale tylko tutaj.

Opowiadanie krótkie i sztuka sceniczna, dysponując czasem ograniczonym, powinny jeszcze bardziej dbać o wyraźną linię budowy, o wyraźne zaznaczenie początku, środka i końca. To samo obowiązuje również opowiadanie filmowe. Jak u starożytnych — czas trwania tragedii odmierzano klepsydrami, tak i film-opowiadanie mierzy się długością metrów i jest pewien standart, którego się nie przekracza. Nie rozporządzając więc czasem nieograniczonym i chcąc w wydzielonych sobie 6 kwadransach pokazać wybraną treść najpełniej, najbardziej wyraziście, film musi się starać o budowę jasną i celową. Nie koniecznie jednak jedynym tutaj wzorem ma być sceniczny dramat z jego niezmiennym schematem (ekspozycja, perypetia i rozwiązanie)! Wzórów kompozycyjnych w równym stopniu może filmowi dostarczyć powieść, nawet powieść bierna. Wszystko zależy od tego, jaki ładunek treści opowiadania zawiera. Słynny film „Cavalcade” np., albo filmy biograficzne (Rembrandt, Pasteur) przynoszą widzowi opowieść o losach całego rodu, albo o życiu jednostki i w rysunku całości nie mają bynajmniej wyrażnej linii dramatycznej, składają się często z epizodów, powiązanych jedynie osobą bohatera, nazwiskiem rodowym, i dodatkiem — jakimś ogólnym motywem tematycznym (walka, sława, poświęcenie...). To samo powiemy o filmach zrobionych według recepty: „zbioru opowiadań”. „Jeszcze pierwszy bal”, „Gdybym miał milion” — oto przykłady. Gdzie tu „konstrukcja dramatyczna”? I czy była potrzebna? Nie było jej ani w „Dzisiejszych czasach” Chaplina, ani w filmach Sachy Guity, ani w „No man’s land” Trivasa, ani w wielu innych doskonałych filmach, zarówno oryginalnych jak i przerobionych z powieści.

ZRODŁA TEMATÓW

Przerobionych z powieści, właśnie!... Beletystyka i teatr — mówi Toepflitz, — to główne źródło tematów dla filmowych scenarzystów. A także, przynajmniej w Ameryce... słuchowiska radiowe. Nie będziemy temu przeczyć. Ale zbadajmy przyczyny dlaczego tak jest. Oto dlatego, że filmowym producentom potrzebne są na gwałt namacalne gwarancje sukcesu, inaczej ryzyko wydania miliona jest zbyt wielkie. A gdzie szukać tych gwarancji, jak nie na rynku wydawniczym, nie w teatrze i nie w amerykańskim radio? Dickens — genialny pisarz? Dobra jest, zabieramy się do Dickensa! Nawet do jego „Papierów Klubu Pickwicka” choć tam wcale nie ma kompozycji! Flaubert? Szekspir? Shaw? Dante? Sw. Jan Ewangelista? Wszystko dobre, bo sławne, bo uznane, bo takie i takie nakład, bo tyle i tyle tłumaczy! To, to jest główny powód, dla którego kino ciągle szpera po bibliotekach, a z niechęcią przyjmuje oryginalną twórczość własną! Zauważył to jeszcze Irzykowski (1924), a od tego czasu nie się tu nie zmieniło, kino ciągle pasyżuje na literaturze.

Zresztą nie ma o co rozdzierać szat. Literatura jest tak samo dobrym źródłem tematów dla kina, jak surowe życie, a może nawet lepszym, bo dzięki drażnieniom niespokojnych autorów — jest ono głębsze, uporządkowane. Chodzi tylko o to, żeby nie stwarzać sztucznych zasad wyboru (tylko literatura!) i żeby w wyborze kierować się kryteriami filmowymi, a nie samą tylko troską o asekurację sukcesu cudzą wielkością!

Dlatego ostatnie projekty Kierownictwa Filmu Polskiego, zapowiadające sfilmowanie „Przedwiośnia” Zeromskiego i „Klubu Kawalerów” Bałuckiego nie wydają mi się przekonujące! Jakież racje artystyczne przemawiają za przeniesieniem na ekran „Przedwiośnia”? Książki, która przecież bez swego języka nie potrafi jako dzieło sztuki istnieć! Mielśmy już jedną próbę sfilmowania tego utworu, oczywiście nieudaną. Z drugą będzie to samo, głowę daję! I gdzież to ominięcie istniejących trudności? Przecież do „Przedwiośnia” także trzeba napisać scenariusz i jest to robota bodaj trudniejsza, niż napisać scenariusz oryginalny! Zeromski bowiem wcale nie odznacza się w „Przedwiośniu” jakąś zwarta, „dramatyczną konstrukcją”, wprost przeciwnie! Więc po co ta próba, z góry skazana na niepowodzenie? Ba! Ale nazwisko, ustalona w literaturze pozycja! Wszyscy książkę znają, właśnie ją „Czytelnik” na nowo wydał! No, tak, to są może i ważne względy, ale czysto koniunkturalne i nie takim właśnie się Kierownictwo Filmu Polskiego dzisiaj kierować.

Mutatis mutandis — to samo powiemy o „Klubie Kawalerów”. Miła, beztroška komedia, ale rzecz wybitnie estradowa, sceniczna. Gra nie waria świeżości! Chyba że się chce fabrykować „teatr na płótnie”... Jako filmowiec miałbym jednak większe ambicje!

Zastanawiające jest to sleganie do „skarbczyka” rzeczy starych i znanych... Spróbujmy poszukać wyjaśnień w wypowiedziach Kierownictwa Filmu. Oto co pisze np. Bossak: „Z pierwszych kontaktów rodzącego się filmu polskiego z odradzającym się piśmiennictwem — wynika kilka cennych choć gorzkich doświadczeń, przede wszystkim przekonanie, że na razie — w pierwszym okresie budowy filmu — wypadnie korzystać z powieści i „złotek scenicznych, z dojrzałej twórczości literackiej, nie przeznaczonych w zasadzie dla kina, ale też nie będącej ubocznym produktem pracy pisarskiej. Filmowi są potrzebne powieści i sztuki...”

Oto jedna przesłanka. Teraz druga. Cytuję Biuletyn Filmowy: „niestety, polska twórczość powieściowa jest na razie tak ograniczona, że trudno nawet mówić (!!!) o możliwościach jakiegokolwiek wyboru rzeczy nadających się do filmu... Wykrzykniki moje.

A oto „generalna linia” dyrektora Forda: „Dlaczego niema współczesnych sztuk teatralnych?... Jak sobie p. Kott wyobraża współczesny polski film bez współczesnej powieści?... Może pan Kott wyobraża sobie, że scenariusz filmowy jest po prostu „literackim” i latwiejszym rodzajem twórczości literackiej?... Wyciągnijmy z tego wnioski. Jeśli film polski „musi się” opierać o gotową literaturę i jeśli z drugiej strony — tej literatury „nie ma”, to gdzieś wyjść? Gdzież jakiś film? Kiedy będzie?

Będzie, bo oto Kierownictwo Filmu, dając narazie pszytka w nos całej polskiej współczesnej beletystyce postanawia sięgnąć do „skarbcza przeszłości”! Hokus, pokus i oto w cylindrze „Przedwiośnie”, i oto „Klub Kawalerów”!

Bardzo przepraszam, ale ani przesłanki, ani wnioski panów nie trafiają mnie do przekonania! I myślę, że nie tylko mnie.

Bo po pierwsze: w Departamencie Teatru i w agencjach teatralnych leży około dwustu sztuk niegranych, a u wydawców leżą dziesiątki niewydanych jeszcze powieści i nowel, które — zaniżm się zawoła: gdzie jest polska literatura? — trzeba pożytyć, przeczytać, zanalizować, omówić. A nuż okaże się, że jest tam coś dla kina? Czy to zostało zrobione? Odpowiadam, bo wiem: nie! A dalej: czy filmowi reżyserzy, ci autorzy i n. spe pierwszych polskich filmów znają choćby te wydane pozycje beletystyczne? Nie znają, bo film nie pomyślał, żeby im tę lekturę umożliwić.

Po drugie: można się zgodzić, że powieść polska i polski teatr, choć to i owo ukazują się, przeżywają pewien kryzys. I że to potra. Dobrze, jakież z tego wypływa wniosek dla filmu? Czekać, aż się kryzys skończy? Aż o tem napiszą Ważyk i Wyka? Bardzo wygodna postawa i absolutnie nie do przyjęcia w nowym życiu! Nie, proszę pa-

stwa, film polski musi odważnie wziąć w tym kryzysie udział, przeżyć go razem z powieścią i teatrem! To znaczy: trzeba zdecydować się na realizację w tej chwili takich scenariuszy, na jakie dzisiaj nasza kulturalna, głęboka stała! Choćby tych — z „atmosfera” a bez „konstrukcji dramatycznej”! Filmy, jakie z tego wyjdą, będą może gorsze (i nawet niepewne!) niż filmy polskie za 10 lat, ale będą!!! Wypełnią nareszcie z ekranów Wacusia i Znachory. I chyba nie jest takie trudne zrobić film lepszy od „Wacusia”? Oczywiście, o ile nie będziemy obiecywali samych tylko arcydzieł!

KONKLUZE

Nie ma rady, wścieki i bezwzględne kryteria, jakie Toepflitz doradza w ocenie scenariuszy, są nie do przyjęcia. „Bez dobrych scenariuszy — nie będzie dobrych filmów”... Cóż, kiedy nie ma zgody co do tego, na czym polega owa artystyczna i filmowa „dobroć”? Dla Toepflitz — to „konstrukcja dramatyczna”, dla mnie — to przede wszystkim filmowość tematu, a co do kompozycji — prawo

WŁADYSŁAW DUNAROWSKI

Za grabiami jest świat

Kaśka pokręciła się trochę, poprawiła chustkę na głowie, wreszcie osiadła grubą plamą wśród oślinionej słoneczną jasnością naci buraczanej. Krótkie, walkowate palce, łaskawe dla buraków, bezlistne dla innej zieleni, poruszają się z niestygającą zachłannością bezmyślnej istoty, która czasem tylko, dla zamanifestowania swej odrębności, mruknie ludzkim głosem:

— Ale narosło tego zielska. Kto temu da radę? Wszystko na moje ręce ino patrzy...

Właściwie to Kaśka szła po konieczny i w tym celu wzięła grabie. O burakach wcale nie pomyślała. Kiedy jednak zauważyła, jak chwasty przez te parę dni okrutnie wybujały, nie mogła przejść obojętnie, żeby na chwilę nie kucnąć do plewienia. Teraz to już nie wiadomo co najpilniejsze. Szczęście, że gospodyni choruje, w pole mało wychodzi; inaczej byłoby urwanie głowy.

Dziewczyną westchnęła żałośnie. Nie ma to jak być gospodynią. Taka ma czas na chorobę i na wszystko. Mocny Boże! Czego takiej jeszcze brakuje? Używa sobie na tym świecie, ej, używa. Już sam krzyk na służbę, rozkazywanie, psioczenie — ile w tym jest przyjemności, ile rozkoszy. Czy ona dozna kiedyś w życiu owych radości? Czy ona może marzyć o podobnej odmianie losu?

Uśmiecha się, bo przypomniał się jej nowy sweter. Nad pociud udarzony. No... i prawdę rzekiesz, to chyba trochę przenośny na jej stan. Zbyt prymny. Wszystko przez to, że dwojaki nic! Iniane i wełniane; że dwojako farbowany: na brązowo i zielono. Nikt by nie pedział, że te kolory tak będą pasowały do siebie. W żadnym sklepie przed wojną nie znalazłby takiego swetra.

Przerzywa robotę i patrzy po niebie, jakby chciała sprawdzić, jaka pogoda szykuje się na niedzielę. Zbyt ciepło napewno nie będzie. Gdzieżby się tak nagłe odmięknęło. Wszyscy narzekają, że pewnie skróć tej wojny tak kłótnie w powietrzu. A już najwięcej labiedzi jej gospościa. Aż uszy bolą słuchać. Przez cały dzień jedno i to samo. Ze zimno, że nie nie rośnie, że do bani z taką wiosną. Niechby zajrzała do buraków, a przekonaby się naocześnie, jak to nie rośnie. Kto tym chwastom da radę?

— Ona se choruje, a ty Kaśka rób!

Różne myśli przychodzą Kaśce do głowy. Lecz nad wszystkimi ciąży jak duszna zmora ciągle narzekanie gospodyni. Czego ona się tak boi? A niechby nawet nie rosło! Dla niej samej na pewno wystarczy. W innych chałupach dzieciśk pełne fury, a mimo to nie słyszy się tam tyle lamentów co tu. Boi się, że braknie jej na wyrównanie kontyngentu? O to niech się sami Niemcy kłopotą. Ich interes. A może się przewali to wszystko... Wróżyli na ten rok. Ze po upalnym lecie... Tylko że na razie jest mokra wiosna. Mokra i zimna.

Kaśka nie ma nic przeciw temu. Tym bardziej, że sweter ma już prawie gotowy. Do lata jeszcze parę niedziel, więc poparaduje trochę. A potem niech będzie ten upał, o którym wróżą, i ten koniec wojny. Niech będzie co chce. Jej wszystko jedno: wojna, pokój, upał, zima, czy deszcz, posucha czy burza z gradem. Przy upale zwykle więcej roboty, a podczas psoty człek trochę odetchnie, trochę kości wyprostuje. Tę marną wysługę, na którą się zgodziła, musi otrzymać. Więcej nikt jej nie da. Więc co ją mogą obchodzić jakieś tam wielkie sprawy tego świata? Jeżeli ten sweter czegoś nie odmieni w jej życiu, to przepadło. Żadna wojna, żaden pokój nie więcej zdziałać nie może. Charówka od świtu

korzystania z wielu wzorów. I oto efektywny slogan: „bez dobrych scenariuszy — nie ma dobrych filmów” traci swoją wartość użytkową, nie może już być pochodnią oświecającą drogę Wytórnici! Tu potrzeba czego innego. Rzeczy całkiem prostej i jedynej, która sprawę ruszy z miejsca. A której jakoś nie widać. A mianowicie: nie należy upierać się przy kanonach rzekomo niewzruszonych komponowania filmu, tylko trzeba okazać większe zaufanie do kultury i zdolności ludzi polskiej sztuki, więc i tych kilku filmowców, jakich się ma obecnie. Nie kanony bowiem, ale żywi ludzie tworzą dzieła sztuki. Zbłądzą raz i drugi? Nie szkodzi. Jak się idzie lasem, to się czasem błądzi, ale stojąc w miejscu — tylko porasta się mchem i pleśnią!

Naprawdę dobry slogan dla Polskiego Filmu znalazł dopiero Jan Kott i powinien dostać za to premię! Przypominam: „kiedy się nie ma z czego wyjść — wychodzi się spod dużego palca!”

Aha, jeszcze o tym „Znachorze”! Wiemy: to przedwojenny polski kicz, którego ostat-

nia kopia, jak się nam naiwnym zdaje, kończy swe niesławne życie na ekranach. Trudno, nie ma filmów, rozumiemy. Ale co państwo powiecie, jeśli się dowiecie, że Film Polski nie tylko eksploatuje starą kopie „Znachora”, ale sfabrykował NOWYCH TRZYNAŚCIE? Tj. pełny nakład kopii, jakiego wymaga obecnie polski filmowy rynek. Aa? Co byśmy powiedzieli o „Czytelniku”, gdyby tak cichcem wypuścił na rynek nowy nakład powieści Migowej czy Mniszkówny? A czyż to nie jest zupełnie to samo?

Więc z jednej strony rozpaczliwe okrzyki: nie mamy dobrych scenariuszy, nie mamy zdolnych reżyserów, autorów, przebieramy, bo kryteria nasze są wysokie, bo chcemy wam dawać tylko bardzo dobre filmy itd... — a z drugiej: szast, prast — cichutki szmugiel trzynastu znachorów na polskie ekrany!

Coś mi się wydaje, że tu właśnie błysnęła na chwilę odsonięta golizna prawdziwa „pięta Achillea” Polskiego Filmu! Och, móc ją uchwycić mocniej, przytrzymać i walczyć, żeby aż klasnęła! Antoni Bohdziewicz.

nie ma na świecie. Ani matka. Tylko ten mały sęk: Jewka.

— Ten przebrzydły zmierzaniec!

Tego jednego Kaśka w żaden sposób pojąć nie może, po co gospościa trzyma tego skrzata. Ani to dziecko urodne, ani zachowaniem się do człeka podobne. Swoje przed czasem pogubiła, a to trzyma. Jakież omamienie czy jak? Bo cóż że siostry? Diabeł oswojone byłoby znośniej-sze. W tym potworku siedzi co najmniej siedem czartów. Każdemu umia dopiec. Ale gospościa to trzyma i wnet by się obrażała, gdy ktoś ma zastrzeżenia co do anielskości Jewki. Kaśka długi czas cierpiła w milczeniu, bo mówiło się, że dziecko zostało wzięte tylko na czas przednowku. Tyle można przetrzymać. Bo wiadomo, co to jest przednowek. Zwłaszcza u takiej jak ta siostra, mająca coś dziesięcioro jeszcze większych i mniejszych od Jewki. Przednowek jednak minął i już drugi nadszedł, a Jewka jak siedziała tak siedzi. Podrosła za ten czas, nabrała policzków, nabrała rumieńców i przeróżnych nowych pomysłów złościwości. A co gorsze — z każdym dniem staje się dufniejsza i pewniejsza siebie. Wprawdzie ciotka czasem łapnie żarnówkę, czasem parobek pięścią walnie, czasem Kaśka w pysk trzaśnie, lecz to wszystko nic nie pomaga. W danej chwili krzyku narobi, ręce składa, po nogach ciska, by za chwilę zapomnieć o wszystkim.

— Nic ino dopust boży!

Kaśka także nabiera odwagi i coraz częściej gospość wypomina, że ten sęk wcale tu niepotrzebny, że tylko utępa na każdym kroku a spórki żadnej.

— Zebyście se wzięli, że ja z tym klukiem dłuży nie cierpię! Milse mi zdrowie niż wszystko. A bez obrazy boskiej też się nie obejdzie. I czy mi to nowała?

I jakoś dzień po dniu schodził bez wyraźnych postanowień. Dopiero jakiś nowy wypadek ponawiał tę kwestię.

Zajęta burakami, Kaśka zapominała zupełnie o grabieniu koniczy. Podał ją i przywiódł do trzeźwości myślenia przeraźliwy krzyk Jewki, wystrzeliwszy nagle tuż za jej plecami. Kaśka wstała na równe nogi.

— A ki smutek cię tu przygnął?! I zaraz z takim darcieciem?

Jewka zamiast odpowiedzi drze się w cały pysk. Na całą wieś. Kaśkę złość bierze nie na żarty. Bo o co się łupi ten zapartek?

— Mówisz czy nie! Bo jak złapię kny-sa, to ci jeszcze dołożę.

Z oślimaczącego głosu dowiedziała się wreszcie Kaśka, że Jewka nadeptała na grabie, ciśnieje na drodze do góry zębami. Jej grabie.

— Po co tu leżysz? Wołał cię kto? Przy chałupie miałaś siedzieć, kur pilnować!

Ale Jewka już rozumuje, że większa wina jest po stronie Kaśki. Bo kto kładzie grabie do góry zębami? Kto kładzie w trawie na drodze? Chyba na przebiecie nogi. Zaraz pójdzie do ciotki i wszystko opowie. Wszyściutko. Zaraz... ino że tak boli! Nie do ścierpienia!

— Bedzies widziała! Ciotka cie nauczy moresu! Ciotka ci pokaze jak kłaść grabie!

Kaśka traci z oczu chwasty, buraki, a widzi tylko grabie, Jewkę, jej twarz wykrzywioną. Ludzka myśl dobiega się pierwszeństwa. Bo prawdą jest, że ten ból jest niepotrzebny. Ze bez niego mogłoby się obejść. Ze też ciska tak do góry zębami... Kto by się spodziewał? Jewka nie miała żadnej potrzeby leżąc za nią w pole. Pokanała ją, że pcha się tam, gdzie nie po-

trza. Ze nie słucha przykazu. Choć ostatecznie... jak dziecko. Czyżby aż tak bolało? Gdyby ktoś większy nadepnął, mógłby przebić nogę na wylot.

— Nie płacz, Jewka, nie płacz! Gdy pójde na odpust, kupię ci coś pięknego. Pod sprawościami, że ci kupię...

Ta miękkość głosu wywołuje w dziecku całkiem odwrotny skutek. Czy ból spotężniał, czy chęć przekory wzrosła, dość na tym, że Jewka nie płacze, ale się hupi na cały głos. Ile może. I jeszcze się podryżnia z Kaśki.

— „Nie płacz, nie płacz!” Carownica! Bedzies widziela od ciotki! Bedzies...

— Bydź — że cicho! Mówię ci po dobroci. Nie drzyj się na całą wieś, bo ci to pomoże.

— Cautj mnie tu!

Tego Kaśce za wiele. Taki śpik miałby się z niej przedrzeźniać! Za nic mieć! Tak być nie może. Ona chce z tym jak z człowiekiem, a to coraz gorsze. Kto by to cierpiał!

Zrywa się i chwytą za grabie.

— Pudzies ty stąd! Pudzies! Mars do chałupy! Kur pilnować, ciotce co podać!

Jewka uciekając, podnosi z tytu sukienkę. Zdołała jeszcze krzyknąć:

— Tu cie mom! Tu!

Kaśka dopada ją wręczcie i robi sobie ulgę za wszystkie złewagi. Trochę oscapkiskiem, więcej pięścią po plecach. — Taki rak ścieki! Taki zapartek śmierdzący!

Im bliżej chałupy Kaśka więcej pomstuje. Niech gosposia słyszy. Niech pozna Jewcynę przewiny. Choć przez ścianę, ale niech pozna. Osobno sprawić się nie myśli. Więc jeszcze przed samym programem:

— na drugi raz nie takie lejty ci sprawię! Paskudo jedna! Jak ty kiej do spowiedzi pudzies! Jak ty to księdzu powiesz!

W progu zjawia się gosposia. Jewka dopada ją pierwsza, chwytą za nogi.

— Ciotko, ratuj! Kaśka chce mię zabić.

Kaśka czując, że sprawa mogłaby wziąć obrót dla niej niepomysłny, uderza na całego.

— Wiedzie se, że już tego mam dosyć. Albo ja z chałupy, albo ten śpik. Dłużej ani jednej godziny nie siedzę. Cy mi to nowała cierpieć dzień po dniu to samo?

I idzie do swojej skrzynki, wyjmując szmaty, wiąże tobolek.

— Co ty, Kaśka, zgupiałaś?

— Mom doś i więcej cierpiela nie będę. Sprawiała tys się nie będę.

Tobol już leży gotowy. Tylko się jeszcze przebrać małowiała i już.

Magda błyskawicznie oceniła sytuację: takiej służącej stracić nie może. Wiele względów przemawia za tym. Do roboty napędzać nie trzeba za kawalerami nie lata, pretensji żadnych. Trochę głucha, wygląd ma nieco głupekawy — ale w czasie wojny są to plusy, chroniące od zabrania na roboty do Niemiec. A co najważniejsze — że w wielu sprawach jest całkiem niedomyślna. Toteż gosposia czuje się przy niej całkiem swobodnie. Plotek nie wynosi na cudze nie patrzy. Nie, takiej dziewczki Magda w żadnym wypadku pozbyć się nie może. Bo nie tylko takiej, ale żadnej nie znajdzie. Co gdzie było, wszystko pobrali do Niemiec. A bez służącej czy dałaby sobie radę? Parobek bardzo niepewny i niewiadomo czy się utrzyma. Jednej nocy w domu nie sypia, odkąd się dowiedział, że go komitet wykazał do wyjazdu do Niemiec. A niechże go gdzie przycapną... Zostałaby bez żywej duszy do roboty. Ale by się niektórzy we wsi cieszyli!

Aby Kaśkę udobruchać, wzięła się ostro do Jewki. Wyćwiczyła patyka ile wzięła, a potem zamkła do chlewka. Zagroziła przy tym, że jak to nie pomoże, każe matce zabrać sobie Jewkę raz na zawsze. Jak kogo chleb bodzie, na to rady nie ma.

Kaśka została. Stało się przecież po jej woli. Aż ją ciarki przechodziły na myśl, że mogłaby stąd odejść. Ze mogłaby już nie spotkać się z Walkiem od Szczerbatego. Ale by sobie narobiła!

Układając lachy z powrotem do skrzynki, stała podłazi jej pod oczy nowy swetr. Czy tak układa, czy inaczej, sweter jest na wierzchu, sweter jest pod ręką.

A dalej w mglistym obłoku jest Walek. Jest też zeszlorczone wspomnienie z jakiegoś zarobku, jak ją właśnie znalazł wodą do nitki. Przy zniwach to było, woda w dzbanku się ogrzała, on chciał biec do źródła, przedtem ową resztę wody na nią wylał. Na nią. Choć wtedy ani swetra nie miała, ani nic takiego, co by ją wyróżniało od innych. Wcale się nie spodziewała, że na zarobku Walek będzie. Potem nie mogła przeżalować, że sobie nawet nowego fartucha nie wzięła.

W skrzynce już wszystko ułożone, ale żał spuścić wieka. Są tam przecież oprócz szmat, oprócz przyodziewku, rzeczy o wiele cenniejsze. Są tam wszystkie myśli

o Walku, wszystkie nadzieje z nim związane, jego pole, jego chałupina na skrajku wsi. Pole! Jest tego chyba dwa morgi. A może nie całe, bo ojcowie pokrajali. Ponoć kiedyś u Szczerbatego była gospo darka jak się patrzy. Dziś zostało niewiele, ale krowinę jeszcze uchowa. Co t się dzieje, że tej ziemi tak wszędzie ubywa? Ze tej ziemi tak mało? Czy się od mieni na świecie kiedy, żeby było inaczej? Czy się odmieni?

Kaśka postanawia sobie w skrytości że jakby doszło do tego, co sobie w myślach układa, i dorwała się do owych dwóch morgów Walkowych, tak pierwsze co zrobi, to namówi służącą. Jakby nie było, ale służącą musi trzymać. Choćby nawet z trudem przychodziło, ale musi.

I już widzi siebie w tej roli gospodyni, jak daje rozkazy, rządzi, gdera, łaje...

Włosek samo się zatrzaśło. Kaśka zrywa się z kłęczek. Co gosposia powie, widząc ją zadudraną w lachach? Gotowa coś pomyśleć. O, bo ona każdego potrafi swymi ślepiami na wylot prześwidrować, przekłuć. Ona żyje raczej cudzymi sprawami, swoje odkładając do zacisznego miejsciska.

Przez ścianę słychać krzyk Jewki. Przeraziły, zachrypiły.

— Już nigdy nie będę! Już nigdy!

Kaśka nie może tego słuchać. Wraca do buraków. Wraca z ciężkim brzemieniem na sercu. Sama nie wie przez co. Jakies czarne myśli, jakies nieokreślone uczucia... Gospodarze narzekają na wojnę, lecz ona nie wie, na co ma narzekać. Czy wojna, czy po wojnie — a niej zawsze jednakowo: harówka od świtu do nocy — na cudzym, dla kogoś. O własnym życiu szkoda marzyć. Choć najgorsze przyjdzie dopiero później. Gdy zajdzie w lato, gdy ludzie spostrzegą, że siły zdarła; że już nie oplaci się zmuszać takiej służącej. Wtedy bierze się węzelek, i kij, i rusza się od chałupy do chałupy, od wsi do wsi. Wreszcie gdzieś kończy się ta wędrówka.

Niedziela zaczęła się bez słońca, wśród chłodnego wiatru — w sam raz na sweter. Kaśce ogromnie odpowiada taki dzień. Toteż ogarnia ją szalony zapach do roboty. Choć to niedziela, ale uwijaczki jest co niemiara: z oporządzeniem bydła, ze śmiadaniem dla ludzi, sprzątaniem. W tej uwijaczce nie ma czasu pomyśleć o oczyszczeniu swych butów. Miałyby też ochotę pomarudzić trochę, jak bardzo się nalata, jak niewiadomo, czy zbierze się na nieszpory. Ale na nic nie ma czasu.

Gdy się wręczcie uśpięzły, czas był najwyższy, bo ludzka już rzedli na drodze. A przecież w minucie nikt się nie zbierze. Sama nie wie od czego zacząć. Gosposia tymczasem kończy strojenie Jewki, którą Kaśka chętnie zabiera ze sobą. Ma przynajmniej do kogo słowo przepedzić po drodze i przy kościele. Nie czuje się tak osamotniona. Nie czuje się takim kółkiem, takim niczym jak wtedy, gdy idzie sama.

Jewka już ubrana, a Kaśka ani w polowie. Nijak nie może dać sobie rady z włosami. Widzi to gosposia.

— Nie rób-że ze siebie mataca, boś nie cudok! Podstarne dzioły tak się nie czesują.

Kaśka miałaby ochotę coś odpedzić, ale nie ma czasu. Jaki cudok? I z jakiej racji podsuwa pod nos cudze lata? Niechże se swoje liczy! Widzicie ją! Podstarne! Ona choćby chciała z włosami cudakować, nie może, bo jednej kudły nie znajdzie. A to co?

Kaśce opadły ręce, nogi ugięły się w kolanach. w głowie zaszumiło gwałtownie.

— Ki ścieklina?

Magda już dostrzegła dziwną zmianę u Kaśki.

— Co tobie się dzieje?

— Patrzcie! Wszystkie guziki od swetra odprute. Ani śladu!

— Nie mów! Któżby to? Kiedy?

Najtrudniejszy problem: kto i kiedy? Obie kobiety są tym przejęte do żywego. Kaśka dobrze pamięta, że wczoraj przed prasowaniem guziki były. Potem rozłożyła sweter na łóżko, aby wysechł. Składała o zmroku, nic nie zauważyła. Skąd teraz wziąć takie guziki? Białe, perłowe...

Jewka znikła z łóżka i tym się zdradziła. Przepadła gdzieś jak kamień w wodę. Darmo gosposia woła, obiecuje nie zamknąć do chlewka, byle oddała guziki zaraz. Jeszcze by się przyszyło. Jeszcze nie tak późno. Ale śladu znaku... Rozstąpi się ziemia...

I Kaśka do kościoła nie poszła. Następnej niedzieli był deszcz. A potem dowiedziała się, że Walek wyjechał do Niemiec. A potem nastąpiło lato i zaczęły się upały. Ludzie coraz częściej mówią o końcu wojny. Bardzo im pasuje wszystko do wróżby. I dopytuje się ukradkiem jeden drugiego, co się dzieje we świecie? Czy zanosi się na co? Bo upał jest, a wróżba była...

Jedna Kaśka nic się tym nie przejmując. Nic a nic. Jakby pochodziła z obcego, lalekiego kraju. Teraz, kiedy odpadły plany na dwa morgi u Szczerbatego, na lużącą i na Walka, nic ją nie cieszy, wszystko stało się bezbarwne, jałowe.

Aż razu pewnego przyszło jej, że miała swój dom, a ten dom miał tyle kien świecących. Ze Kaśka nijak ich zrachować nie mogła. A za domem było pole, bardzo dużo pola, a wszystko było jej. Świadomość posiadania była tak silna, że

IRENA FILOZOFÓWNA

Teatr w piśmiennictwie radzieckim

„Aktor nie stawia po sobie świadectwa swego talentu. Ani obraz, ani rzęźba, ani słowo utrwalone w druku nie są pomnikami jego artystycznej działalności i dlatego o artyście-aktorze należy pisać więcej, niż o innego rodzaju artystach, którzy swymi dziełami mówią o sobie odległej nawet potomności. Niech więc ocaleje przynajmniej szlachetne imię artysty teatru w historii sztuki i literatury, niech ocaleje pamięć uznania i wdzięczności współczesnych”.

Przed stu laty z górą pionier teatralnej krytyki i wielki miłośnik sztuki aktorskiej, S. T. Aksakow rzucił te hasła. Nie straciły one na aktualności nawet teraz, w dobie dźwiękowego i barwnego filmu, przeciwnie — nabrzmiały znaczeniem dla innych jeszcze współtwórców dzieła teatralnego, przede wszystkim dla inscenizatorów i reżyserów.

Wytwory ich artystycznego wysiłku skazane są przecież z natury swej na zagładę w chwili narodzin.

Sprawiedliwość nakazuje zadośćuczynienie, dorównujące sile i ekspansji wpływów sztuki teatralnej. Z poważnym zrozumieniem i gorącym odczuciem tej powinności wobec teatru spadkobiercy postawy Aksakowa w społeczeństwie radzieckim nie tylko tworzą teatr i chodzą do niego, ale o teatrze rozmawiają, rozsiewają go po całym kraju, wprowadzają we wszystkie zakątki życia, aby sam życiem nasiąknął, skrzętnie zbierają i z pietyzmem przechowują wszelkie zażytki i pamiątki teatralne. Przekonywująco mówią o tym radzieckie piśmiennictwo teatralne.

Ogólnorosyjskie Towarzystwo Teatralne wydaje w Moskwie „Teatr” — zbiór artykułów i materiałów, w których odbija się życie teatralne Związku Radzieckiego. Piśmo to podaje drobiazgowo kronikę ściśle artystycznej oraz oświatowej i społeczno-politycznej działalności ludzi teatru podczas wojny, rejestruje przedstawienia, koncerty, ilustrowane lub dopelniane występami artystów odczyty, zebrania, przemówienia, apele, omawia najważniejsze wydarzenia teatralne okresu powojennego, porusza bieżące problemy teatralne, nawiązuje do historycznych tradycji teatru i krytyki, śledzi wpływy rosyjskie zagranicą („Rosyjska klasyka na amerykańskiej scenie” I. Kulikowa), publikuje literackie dorobek artystów teatru poglądowo wypunktka tekst ilustracjami. Na podstawie tego obfitego źródła (224 str. gazetowej czołki) można nawet z daleka wytworzyć sobie pojęcie o współczesnym teatrze radzieckim.

Wspólny jest wielu autorom pogląd, że teatr ma do spełnienia dwa zasadnicze zadania: jedno — niejako pozawcze, polegające na obnażeniu człowieka i świata, drugie — ideowo wychowawcze, zmierzające do wytworzenia w widzu określonej postawy duchowej wobec życia, postawy, którą cechują aktywność i optymizm. Stąd wypływają wskazania repertuarowe, przeciwnie nie tak kłępiące inicjatywę twórczą, jakby się to mogło komu wydawać. Wprawdzie najogólniejsze wytyczne dotyczą tematów i problemów bliskich chwili obecnej, ale ta bliskość pojęcia jest szeroko. Bliskie jest wszystko, co korzeniami tkwi w narodzie, w jego przeszłości i teraźniejszości, a wyznacza mu drogę rozwojową w przyszłość. W ten sposób otwierają się olbrzymie możliwości dla dramatu historycznego. Nawet operetka radziecka stara się przyjąć taką historyczno-patriotyczną linię repertuaru („Swierdłowski Teatr Komedi Muzycznej” Dmitriewa). Na pierwsze miejsce w repertuarze wysuwa się współczesna literatura dramatyczna, której tematyka obejmuje cały okres porewolucyjny, zwłaszcza ostatnią wojnę. W wykazie premier z roku 1942 raz po raz powtarza się „Front” A. Kornejczuka.

Z dramatopisarstwa poprzednich pokoleń teatr radziecki usiłuje wydobyć dla siebie

nawet po przebudzeniu dłuższy czas nie mogła się jej pozbyć.

Co by to mogło znaczyć?

Któregoś dnia zgadła się z kimś, że w sąsiedniej wsi jest taka baba, co umie dobrze wróżyć. Której się wszystko spełnia. Jak tylko czasu dopadnie, polecą do niej. Żeby nie wiem co — polecą!

Tą myślą żyje, śni, oddycha. W tej myśli jest cel jej życia, zaspianający wszystkie niedole dnia.

Jak tylko czasu dopadnie...

Władysław Dunarowski

jak najwięcej. Za punkt honoru uchodzi mu przywrócenie prawa do życia teatrowi Czechowa, nad którego dramata zaciążyła opinia, zrodzona przez pierwsze pokazy jego sztuk w zaranu działalności Teatru Artystycznego. Epitety w rodzaju „kameralny”, „ekliwy” i na domiar złego „pesymistyczny” przylgnęły do Czechowa — dramatopisarza na długo. Teoretycy dramatu dawno już Czechowa zrehabilitowali, ale teatry nie umiając otrząsnąć się ze wspomnień poprzednich inscenizacji, ociągały się z ponownym graniami jego utworów do tego stopnia, że jeszcze w 1940 roku wystawienie w Teatrze Charkowskim „Trzech siostr” na 80-lecie urodzin Czechowa uchodziło za fakt w radzieckim życiu teatralnym odosobniony. Wznowiony wtedy w Teatrze Artystycznym „Wiśniowy sad” działał jak wyblakła fotografia drogiej chwili.

Widocznie praktyka teatralna nie rozwiązała jeszcze problemu Czechowa, jeżeli „Teatr” ogłasza dwa artykuły na ten temat, a w recenzji z „Wujaszka Jasia” w Swierdłowskim Teatrze Dramatycznym i z wznawienia „Trzech siostr” w Charkowskim Teatrze wytyka sporo błędów interpretacyjnych.

Rewizja ujęcia utworu pod kątem widzenia jego aktualności powtarza się już dość stereotypowo w stosunku do najrozmaitszych utworów. Ma się wrażenie, że przy dobrej woli i tolerancji wyjdzie z takiego procesu obroną ręką niemal każda sztuka, której autor nie zadeklarował się wyraźnie po przeciwnej stronie barykady. Przypomnijmy sobie długą u nas dyskusję w związku z wystawieniem „Elektry”. Teatry radzieckie faworyzują wprawdzie własną, dawniejszą i współczesną, literaturę (Gogol, Ostrowski, Tolstoj, Gorki), ale nie odgradzają się od twórczości obcej (Rostand, Giry de Maupassant, Zola, Sardou, Scribe, Lope de Vega, Goldoni, Gozzi, Szekspir, Schiller). Weźmy konkretne przykłady. Na afiszu teatru im. Wachtangowa znalazły się następujące sztuki: „Oleko Dundić” M. Kaca i A. Rzeszewskiego, „Front” A. Kornejczuka, „Cyrano de Bergerac”, „Burza” Ostrowskiego, „Nitouche”. Teatr prowadzony przez Zawadzkiego pokazał po powrocie do Moskwy sztuki, wystawione jeszcze w Alma-Ata 1943 r.: „Otello”, „Zabawna przygoda” Goldoniego i „Najście” L. Leonowa. Państwowy Teatr Dramatyczny im. Gorkiego wystawił „Rewizora”, Teatr Artystyczny zamknął sezon (1944 r.) „Ostatnią ofiarą” Ostrowskiego.

Z Armenii „Teatr” przynosi odgłosy tur-nieju szekspirowskiego, w którym walczyło dwóch Otellów i dwóch Hamletów.

Widać, że jedyny na pozór punkt widzenia w doborze repertuaru nie przesłonił teatrowi radzieckiemu rozległych horyzontów, nie zagroził dostępu do literatury światowej. Różnorodność zachowała się w dramacie, w operze, w komedii muzycznej, tańcu, teatrze kukielkowym („Król-jelen” Gozziego).

Nie wynika z tego jednak, by teatry radzieckie były eklektyczne w złym rozumieniu tego wyrazu.

Każdy z nich ma indywidualne oblicze, nadane zazwyczaj przez swego twórcę, a zachowywane dzięki podstawowemu rysem ustroju teatrowi. Zespoły teatralne bowiem nie składają się z ludzi przypadkowych, w jednym teatrze latami całymi współpracują ze sobą ci sami artyści, złączeni jednym dążeniem, wolni od troski o jutrzejsze engagement. Np. Teatr im. Wachtangowa utrzymuje stale dwie odrębne linie twórczości, zapoczątkowane przez swego założyciela. Jedna — linia głębokiej treści i ważkiej idei społecznej („Jegor Bułyczew”, „Człowiek z bronią”, „Front”), druga — linia lekkiej, groteskowej komedii („Turandot”, „Słomkowy kapelus”, „Nitouche”). W obu teatr szuka nowych form, odpowiednich dla utworu, jednak — jak obiektywnie stwier-

dza krytyk Lukin — nie zawsze się to udaje. W związku z ostatnimi przedstawieniami zarzuca ów krytyk wachangowcom, że w ich teatrze wesoly dźwięk ostróg oficerów kawalerii francuskiej z „Nitouche” zagłuszył gromy „Burzy” Ostrowskiego. Inna zupełnie oblicze ma Teatr im. Mossowieta, którego charakterystykę kreśli T. Rodin w „Nowych pracach” J. A. Zawadzkiego. Stanowią one jego ostatnie credo artystyczne, są wyrazem buntu przeciw samemu sobie i ostrym zwrotem w dotychczasowej twórczości. Zawadzki, jako inscenizator i reżyser, wycofał się z jaskrawo teatralnej, ironicznej manieri, zwalczającej realistyczne prawdopodobieństwo, na zupełnie skromną pozycję, oddając pierwszeństwo aktorom, którzy dla spełnienia dzisiejszych zadań teatru muszą znaleźć właściwy wyraz sceniczny. W zasadzie nie nowe dążenia Zawadzkiego kontynuują główną tendencję sztuki rosyjskiej, zdawna skoncentrowaną na zgłębianiu i ukazywaniu charakterów ludzkich.

Tendencja ta opanowuje dzisiejszy teatr radziecki i odzwierciedla się we wszystkich artykułach „Teatru”, czy dotyczą teatru dramatycznego, czy operetki, baletu, czy nawet teatru kukielek. Dezyderaty krytyków i dążenia artystów wysuwają na pierwszy plan organiczne scalenie wszystkich współczynników przedstawienia, ożywienia postaci scenicznych, indywidualizację charakterów, zoperowanie przerostów inscenizacyjnych i reżyserskich. Jest to wyraźny nawrót do K. S. Stanisławskiego, widoczny zwłaszcza w monografiach aktorskich, w których charakterystyczne jest opisywanie poszukiwań wyrazu zewnętrznego poprzez przeżycia wewnętrzne (np. „Praca B. W. Szczukina nad obrazem Lenina”. Ch. Chersoński). O niewygasłym oddziaływaniu Stanisławskiego na życie teatralne świadczą zarówno druk jego dwóch nieopublikowanych dotąd przemówień okolicznościowych, wydobytych przez „Teatr” z archiwum, literackie puścizny Stanisławskiego, jak i wydany tego samego roku (1945 r.) w 10.000 egzemplarzy „Reżyserski plan Otella” (392 str.). Złożyły się na tę książkę uwagi, przesłane pracownikom Teatru Artystycznego z Nicei w latach 1929 — 1930. Nie były pomyślane do druku, tym są bezpośrednio i pozwalają zaistnieć do uściślenia warsztatu i prześledzić, jak już raz na marginesie „Czajki”, swoisty system Stanisławskiego, przedstawiony częściowo w „Pracy aktora nad sobą”.

Przegląd radzieckich wydawnictw teatralnych z pierwszego roku po ukończeniu wojny skłania do refleksji. Co zostało u nas choćby z twórczości Kazimierza Kamińskiego, Stefana Jaracza, Stanisławy Wysockiej, Juźiuszy-Stępnowskiego? Co napisano o teatrze po wyzwoleniu? Co w teatrze zrobiono? Niestety, bardzo mało. Działalność Rady Teatralnej rozpoczęła w historycznym dniu 16 czerwca powinna zmienić ten ujemny bilans.

Irena Filozofówna

ERRATA

W nr. 24 w kolumnie wierszy Juliana Tuwima należy sprostować następujące błędy:

W utworze „Odpowiedź” opuszczony został ostatni wiersz:

Takby serce zabila ta pisząca ręka.

W utworze „W nocy” strofa przedostatnia powinna brzmieć:

*Zerwij z nocy liść księżycy,
otul serce martwym blaskiem,
a ja swoje będę szeptał,
zapadając w somnolinę.*

W tym samym utworze, zamiast „faflę lśniących idealną”, ma być:

taflę lśniących idealną.

W poprzednim (24) numerze „Kuźnicy” z dnia 24 czerwca 1946 roku: Julian Tuwim: Wiersze. — Stanisław A. Majewski: Współczesna polityka kolonialna mocarstw zachodnich. — Stefan Żółkiewski: Czy w Polsce szanuje się człowieka? — Janina Żurawicka: Cyfry, które krzyczą. — Jerzy Andrzejewski: Synowie. — Adolf Sowiński: Wiersz. — Tadeusz Grzebieliński: Ze spraw angielskich. — Ewa Korzeniewska: „Próba ognia” Tadeusza Hołuj. Jan Rojewski: Siedem dni. bd: Przegląd wydawnictw. Wanda Grodzienka: Płomień. — ph: Przegląd prasy. — Tadeusz Kubik: Geneza powstania warszawskiego. — Juliusz Żulawski: Uczeń diabła. — Noty. — Helena Adamczewska: Jubileusz pierwszego zjazdu pracowników kultury.

PRZECLAW SMOLIK

Wystawa prac malarskich Marka Żulawskiego

Wystawa retrospektywna Marka Żulawskiego w lokalu Spółdzielni Pracy Związku Artystów Plastyków Łódzkich, obejmująca sześć dziesięć prac tego artysty z okresu ośmiu ostatnich lat, daje doskonałą sposobność poznania twórczości malarskiej jednego z czołowych dziś przedstawicieli młodszej generacji artystów polskich.

Wychowanek warszawskiej akademii, występował Marek Żulawski już na kilka lat przed ostatnią wojną na wystawach krajowej sztuki z pracami zbliżonymi w ich ogólnym charakterze i malarskich tendencjach do grupy t. zw. kapistów (H. P. czyli Komitet

ośmiu lat spędzonych na obozie, jaki oglądany na łódzkiej wystawie, świadczy o tym ostatecznie przekonująco.

Wystawa Żulawskiego, nie będąc w istocie żadną rewelacją, ani też nie wnosząc do sztuki nowych wartości jest niewątpliwie dorobkiem rzetelnego i rozmyślanego w swej pracy artysty i zapewni każdemu miłośnikowi sztuki poważne przeżycie estetyczne.

Bliski związek malarstwa M. Żulawskiego z współczesnym malarstwem francuskim, praktykującym jako niezłą zasadę kolorystyczne rozbudowanie powierzchni obrazu,



Marek Żulawski: Wlejska. droga.

Pariski), reprezentujących bezpośrednio wpływy francuskiego malarstwa impresjonistycznego i postimpresjonistycznego w współczesnym malarstwie polskim. Na dwa lata przed wybuchem wojny 1939 r. M. Żulawski wyjechał do Londynu, gdzie go na dalszych lat sześć zatrzymała światowa zawierucha.

Ten ośmioletni pobyt w środowisku angielskim, w warunkach tak odmiennych od tych, w jakich żył w Polsce, nie tylko ułatwił artyście przeżycie tych lat, ale umożliwił mu też nieprzerwaną pracę nad sobą i zapewnił mu stały i intensywny rozwój. Poważny dorobek artystyczny, rezultat tych

jest wyraźnie czytelny. To w pewnej mierze jeszcze i dziś zbliża Żulawskiego do czołowej obecnie w sztuce polskiej grupy malarzy, z którymi przed laty łączyły go te same tendencje.

Choćby sprawa koloru w obrazach Marka Żulawskiego nie tylko nie straciła swego znaczenia, ale ma i obecnie znaczenie dominujące, nie jest dziś ona jednak sprawą wyłączną, sprawą jedyną.

Równorzędne z kolorem znaczenie przyznaje artysta sprawie światła. I już tu należy podkreślić, że źródłem światła w obrazach Żulawskiego jest właśnie sam kolor czyli odpowiednie wzajemne ustosunkowanie barw o rozma-



Marek Żulawski: W kabarecie.



Marek Żulawski: Agnes.

tej, bogatej skali tonów i stopień ich nasycenia. Trzecią, równorzędną z tymi, jest u Żulawskiego sprawa organizacji przestrzennej obrazu, rozbudowanie kompozycji w głąb. Przedmioty w jego pejzażach i wnętrzach nie leżą na płaszczyźnie, w roli równorzędnie traktowanych elementów zdobniczych, jak w perskim dywanie, ale istnieją w przestrzeni trójwymiarowej, odgrywając w obrazie uzasadnioną logicznie i kompozycyjnie rolę. Człowiek siedzący, stojący, pracujący w tej obrazowej, skomponowanej przez artystę przestrzeni, to już nie tylko plama barwna, już nie jeden z wielu innych przedmiotów i szczegółów, wprowadzonych do kompozycji jako elementy równorzędne, wypełniające mozaikową powierzchnię obrazu, lecz jest to naprawdę człowiek żywy, stojący lub siedzący przy stole i poruszający się swobodnie w wieloplanej przestrzeni obrazu, w której najczęściej odgrywa on dominującą rolę centralnego ośrodka, nadającego całemu otoczeniu i tłu, a tym samym i malowidłu, właściwy sens i znaczenie. I oto ten właśnie rozumny i dojrzały realizm w malarstwie M. Żulawskiego, który wprowadza do jego obrazów już od dawna ustalone wartości, a obok tych także nowoczesne zdobycze malarskiej sztuki, odróżnia dziś jego malarstwo od malarstwa niejednego z naszych współczesnych kolorystów, rozbudowujących kolorystycznie powierzchnię obrazu, za wzorem wielkich współczesnych majstrów malarstwa francuskiego, (przede wszystkim Matisse'a i Bonnard'a), — na podobieństwo płaskiej mozaiki lub dywanu perskiego.

Jedną z charakterystycznych cech malarstwa M. Żulawskiego jest dochodząca czasem aż do granic brutalności siła jego kolorytu. Nie jest to jednak cecha ujemna. Raczej przeciwnie. M. Żulawski nie należy do malarzy oszczędnych, ograniczających się w skali stosowanych stałe tonów. Gospodaruje on jako kolorysta swą paletą wybitnie rozrzutnie. Od gorącej, ognistej czerwieni, od czystej bieleń, oranżów i brązów, intensywnej zieleni, aż do łagodnych, przygaszonych różów, srebrzystoszarych tonów i głębokiej czerni — żadnej z zasadniczych barw widma nie brak w jego malarskiej kuchni.

Obrazy M. Żulawskiego czynią zaraz przy pierwszym na nie spojrzeniu wrażenie bardzo świeże. Wygląda to tak, jak gdyby powstały od razu, od ręki, bez wyraźnego śladu poszukiwań, błędów i poprawek, które nie rzadko niszczą pierwotny plan dzieła niejednego artysty i dają efekt czegoś wymyślnego i brudnego w kolorze. U Żulawskiego takich plócien nie ma. Czyste, jasne, prześwieczone tony grają z pełną siłą w jego obrazach, dając widzowi wrażenie leżymy i błękości. Tłumaczy się też one bez trudu. Nie potrzebują wyszukanych tytułów i komentarzy. Od razu rozpoznac można, o co tu lub tam szło artyście: o taką lub inną gamę barwną o wyrażenie określonego nastroju uczuciowego, o taki czy inny charakter wnętrza lub krajobrazu, o wyraźnie zaznaczony i czytelny ruch, interesującą scenę z życia itp.

A przy tym wszystkim — intencje i zamierzenia artysty, przeważnie w sposób niedwuznaczny czytelne, nie we wszystkich, znajdujących się na wystawie pracach zostały w sposób równorzędny zrealizowane. Czyż mogłoby być zresztą inaczej w wystawie, przedstawiającej sześćdziesiąt prac artysty z okresu ośmiu lat? Są więc malowidła osobliwie szczęśliwie zamierzone i równie szczęśliwie zrealizowane. I takich jest większość. Lecz są i takie, w których nie wszystkie z czynników budowy znalazły się w należytej zależności wzajemnej i równowadze. Nie uważam jednak za potrzebne i wskazane zapuszczać się w analizę tego rodzaju różnic i nieuniknionych niedociągnięć, zwłaszcza, że znajdują one z naddatkiem pokrycie w dziełach dojrzałych i cennych, które wejdą niewątpliwie do żelaznego kapitału w rozwoju i dorobku artysty, świadcząc wymownie o jego rzetelnym stosunku do sztuki, o poważnej pracy i rozumnie wybranej i z pełną świadomością przez artystę drodze, która już dziś — mimo młodego jego wieku — zapewnia mu jedno z czołowych miejsc w współczesnej sztuce polskiej.

TERESA TYSZKIEWICZOWA

Moje wspomnienia o Tytusie Czyżewskim

i co o nim powiedział profesor Kowarski

Znałam go dawniej, ale byłam po raz pierwszy w jego pracowni w roku 1941. Mieszkał wtedy w Warszawie na Woli przy ul. Ludwiki. Miał dwa pokoje: pierwszy skład książek i reprodukcji (zamalowany zbieracz wszelkich dzieł o sztuce,



Tytus Czyżewski: Portret.

niał tego bardzo wiele) — drugi pracownia.

Była dość duża o jednym wielkim oknie z widokiem wprost na kościół wolski, który miał się tak upamiętnić w dniach powstania.

Sztafugi ustawione blisko okna, dużo płócien zamalowanych porostawianych po kątach — kilka zagruntowanych, przygotowanych już do dalszego malowania; (z zazdrością można było patrzeć na tę przewidującą przezorność i zaradność w zakresie przygotowań malarskich).

W najodleglejszym od okna kącie, w półmroku prawie, ustawiona była martwa natura.

Gdy ją spostrzegłam ogarnęło mnie głębokie zdumienie, bo zobaczyłam w niej nagle gotowy obraz Czyżewskiego.

Imbryczek, flakonik napełniony sztucznymi spłowiałymi kwiatami, draperie i prawie zupełnie zgnite jabłka, tonięły w cichych półcieniach i złamanej gamie. Ustawienie tak charakterystyczne dla płócien artysty i tutaj rzecz zrozumiała znalazło swój wyraz: ustawienie nie zwarte, lecz rozstrzelone, dające kompozycję, nasuwającą na myśl raczej płaszczyzną równomiernie wypełnioną elementem dekoracyjnym, aniżeli grupę. Zobaczyłam wszystkie tonacje złamane i przelazione, które tak dobrze znałam.

„Nie potrzebuje on już transponować, pomyślałam, ma gotowy obraz”, ale bardzo byłam zaskoczona, niczego podobnego nie mogłam się spodziewać. Wydawało się, że ktokolwiekby usiadł przy tym jasnym oknie i namalował drzemającą w mroku zwiędłą martwą naturę — musiałby zrobić „Czyżewskiego”.

Czyżewski lubił pokazywać swoje płótna. Miał wtedy na ustach zawsze te same frazesy (absolutnie nie wierzył w to, co mówił): „To paskudztwo takie, ot to tak sobie namalowałem, i to takie także”.

Wymowa, ustawiał jedną, drugą, dzieśiątą martwą naturę, wszystkie z tych samych mniej więcej elementów: imbryczek namalowany piętnaście razy, flakonik dziesięć razy i te same sztuczne kwiaty. Tylko w coraz to innej tonacji i klimacie obrazu.

Słicznie się Tytus bawił swoim malarstwem. Nie mógł go znudzić model, który był mu tylko pretekstem do malowania. Swobody było wobec modelu mógłby mu pozazdrościć największy mistrz pendzla.

Na pozór, Czyżewski siadał i malował tak jak malują dzieci, bez żadnego zastanowienia i wahań. Patrzył na naturę jednym, całkowitym swoim widzeniem i z tego skarbów czerpał wszelkie możliwości, lekkość i bezpośredniość. Ale to ekspansywne, gwałtowne wyładowanie w trakcie pracy było już tylko końcowym wynikiem uprzedniej, nieraz dłuższy czas zdobywanej koncentracji wewnętrznej. Nie przypuszczam, aby Czyżewski ostatniego okresu, ten, którego znałam, męczył się kiedykolwiek nad płótnem, przemalowywał, szukał. Świadomie też używam słowa, że „bawił się” swoim malarstwem. Płótno gotowe było w kilka godzin, a te skomplikowane złamane tonacje, które zachwycają nas, stwarzane były à la prime, od razu, mokre w mokrym, bez poprawek. Patrzył na ustawiony model i szybko, zdecydowa-

nie, beztrząsco, odtwarzał go na płótnie jako zawiłą arabeskę barwną. Naprawdę model był mu tylko pretekstem do komponowania tego bogatego ornamentu, którym stawał się kontur, fałdy draperii czy rysy twarzy.

W kompozycyjnym podejściu do portretu może być Czyżewski uważany za wielkiego nauczyciela: Związanie postaci z tłem, w komponowaniu jej, układ całości, rozwiązanie barwne, wibracja całej powierzchni, — nie znajduję podobnych we współczesnej sztuce polskiej. Zaznaczyć jednak trzeba, że nie czuł zupełnie charakteru modelu, i te portrety nie noszą nigdy śladu podobieństwa.

Oto fakt: Czyżewski malował w roku 1942 mój portret. Gdy dzieło było ukończone, ludzie znający mnie dobrze, nie potrafili wybrać między trzema ustawionymi wówczas w pracowni portretami, który miał być moim. Nawet charakter ucieszenia i ubrania był w zupełności zmieniony.

Analizując obraz Czyżewskiego, dochodzimy do wniosku, że styka się on z postimpresjonizmem, czysto zewnętrznym. Wyszedł z formizmu. W jakis swoisty sposób odczuwał i przerabiał osiągnięcia malarstwa doby bieżącej. Poszukiwał podniety w elementach, które on tylko mógł dojrzeć, czy w naturze, czy w jakimś dziele artystycznym.

Często klasyfikuje się styl malarza pozornie: Na przykład Dawida, z tytułu epiki i akcesoriów, podciągają pod klasycyzm, a właściwie jego istota, to dynamiczny realizm.

Podobnie Czyżewski, choć tkwił w klimacie formizmu i postimpresjonizmu, odnalazł formę, która charakteryzowała jemu tylko właściwe doznania. W tym leży wartość jego sztuki.

Świadomie i bardzo ściśle konstruował swoje zadania, czego dowodem, że wracał częstokroć do zagadnień jakby przebrzmiałych, mających odblask formizmu („obrazy hiszpańskie” jak je nazywał). Był w malarstwie intelektualistą.

Bez precedensu jest wrażenie, jakie się odnosi, patrząc na jego płótna: nie ma tam płaszczyzny, ani głębi, ale poza ramą — przestrzeń, a w tej przestrzeni istnieją pewne kształty, pewne kolory — niestabilizowane. Jest w tych obrazach jakiś ruch, ale nie można dokładnie określić planów. Nie ma w nich nic zmaterializowanego, nawet w sensie koloru.

Tak w kilku zarysach oceniłby się dany wartości Czyżewskiego jako malarza. Stają się one zrozumiałe na tle pewnych właściwości jego psychiki.

Istotnie, sylwetka duchowa Czyżewskiego ukazuje go nam, jako człowieka skrytego, nieufnego, z ogromną siłą sarkazmu. Ale obok tego odczuwało się niejednokrotnie tęsknotę za zwykłym współzyciem z innymi ludźmi, po prostu jak człowieka z człowiekiem i poza zagadnieniami sztuki.

Kiedy profesor Kowarski oglądał jego „muzeum” (tak nazywał swoje zbiory, reprodukcje, kartki pocztowe, wycinki z gazet itp.), zauważył, że czerpał ze źródeł nie poddających się estetyce i normom przyjętym. Miał np. pośród swych zbiorów żurnale mód kobiecych i tłumaczył, że służą mu one jako natchnienie i materiał do pracy.

Innym jest jego rozejście się ze swymi przyjaciółmi w sprawie Matejki. Miał odwagę nazwać go malarzem dekoracyjnym w wielkim stylu „na miarę wielkich dekoratorów włoskiego odrodzenia” — w chwili kiedy odmawiano Matejce właśnie poczucia kompozycji i dekoracyjności. „Matejko pierwszy w Polsce budował formę za pomocą barwy” — twierdził ten Niezależny, wbrew całej opinii i wbrew najbliższym przyjaciołom.

W zachwyty wprawiły Czyżewskiego ilustracje Doże'go do „Podróży po Hiszpanii”.

Jego namiętne zainteresowanie malarstwem hiszpańskim i Hiszpanią oraz prymitywem podhalańskim, złączyły się w jego doznaniu w jakąś harmonijną wspólnotę.

Z wymienioną wyżej książką łączy się następujący fakt: Książka była własnością profesora Kowarskiego, ilustracje Doże'go w drzeworycie, odbiegały od typowych form tego artysty, gdyż posiadały wiele temperamentu. Miały charakter często małych scen, zaobserwowanych i rysowanych na żywo z jednoczesną dużą dynamiką realistyczną.

Gdy Czyżewski zobaczył książkę u profesora przycisnął ją do siebie i powiedział: „Słuchajcie, profesorze, pożyczcie mi tę książkę, jak Boga Kocham, za parę dni wam oddam”. — Te parę dni trwały 7 lat.



Tytus Czyżewski: Martwa natura.

Ostatnio w czasie okupacji spotkawszy Kowarskiego obiecał, że „już przedko odda”. Kowarski poprosił go wtedy, żeby książkę zatrzymał, i zauważył na jego twarzy wzruszenie i radość: „Wiedcie, że bardzo wam dziękuję, wiecie, ja tę książkę bardzo lubię”. — Był wówczas podobny do skąpego rycerza, któremu zostawiono ekarab.

Inną cechą, charakterystyczną dla Czyżewskiego była jego swoista mania kolekcjonowania. Zamalowanie jego do zbierania wszelkich reprodukcji i pocztówek miało w sobie coś z pasji. Pamiętam następujące zdarzenie — w Paryżu 1937 roku. Czyżewski wybrał się tam z Hanną Rudzką Cybisową. Jak zwykle, nie miał pieniędzy, stołował się w najlichszych jadalniach, brakowało na elementarne potrzeby. Dzień schodził mu na ustawicznej, niekończącej się wędrowce po muzeach i marchandach.

W każdej galerii doznawał pokusy nie do przewyciężenia: Pocztówkowe reprodukcje dzieł sztuki. Czyżewski pożerał je oczami, przeglądał, wybierał i kupował. Chciałby kupić wszystkie. Cybisowa strzegła go, aby nie popełniał takiego szaleństwa. „Przecież nie będzie na obiad, nie wolno Panu już nic kupić” — „Tak, ja wiem, już nic nie kupię” — tłumaczył się zażenowany. Ale w następnej galerii nagle znikła. Gdzieś się zawieruszył. Rudzka-Cybisowa odkrywa go po dłuższym poszukiwaniu znowu u sprzedawcy pocztówek.

Tytus jest urzeczony; nic nie słyszy, nic nie widzi poza stołem pocztówek, które już sobie wybrał. Ogląda dalej, wciąż odkłada, góra pocztówek rośnie...

„Kto za to wszystko zapłaci — woła zrozpaczona malarka — proszę to zostawić i idziemy na obiad”.

W Warszawie sytuacja przedstawiała się podobnie. Ten samotny człowiek, w ustawicznej pogoni za groszem, człowiek któremu obdarła kobieta przychodziła co drugi dzień ugotować kaszę czy kartofle na obiad — znajdował zawsze pieniądze gdy chodziło o zakup oleju, farb i wszelkich materiałów malarskich. Zdobywał ten grosz, nie dbając prawie o sposób: bywało, że pożyczal od spotkanych kolegów dosłownie po kilka złotych. Zdarzyło się, że instytucji, od której spodziewał się zapomogi, gdy mu jej odmówiono, zagroził, że „od jutra przestaje malować”.

Poza materiałem malarskim, trzeba było kupić od czasu do czasu, nowe akcesorium do martwej natury. Dziwne miały nieraz wysoki w tej dziedzinie — dziwaczne i świadczące o zupełnie złym smaku.

Przychodzę kiedyś do pracowni, Tytus pokazuje mi z dumą swój nowy zakup: Był to kawałek dekoracyjnego papieru, jaki sprzedają kucharkom dla ozdoby półek w kuchni. Wzór w kwadraciki ultramarynowe i żółte imitował wyszywanie na kanwie i krzychał ordynarnym złym gustem. Czyżewski jednak był zachwycony. Gdy wyczytał papier, jako tło do swej odwiecznej martwej natury tak cichej i stonowanej — nasunęło się dręczące pytanie, jak wypadnie to nowe płótno?

Okazało się w kilka dni później, że wstrętny, jaskrawy papier zadrgał w obrazie nieoczekiwanym stumionym blaskiem.

Poza wszystkimi innymi elementami poetyczność przewija się poprzez całą jego twórczość i może niebezpiecznie poeci twierdzili z pewnym sarkazmem, że był wspaniałym malarzem, a wielu malarzy ironicznie określało go jako poeetę.

Mówić o Czyżewskim trudno, tym bardziej, że brak przecież jeszcze niezbędnego dystansu w czasie. Twórczość tego wielkiego artysty czeka na właściwe, odpowiedniej powagi opracowanie. Niewątpliwie Czyżewski się go doczeka, tak, jak na nie zasługuje... Sądzę jednak, że dopóki jego ciekawą postać ze wszystkimi jego ludzkimi cechami, a nawet wadami mamy tak żywo przed oczami, ważnym jest gromadzenie każdego spostrzeżenia i każdego okrucieństwa wiadomości o nim. Ci, którzy go znali — winni zatroszczyć się o to. Być może przekonają się tak, jak ja w moich rozmowach z profesorem Kowarskim, jak trudno jest zsyntetyzować w sylwetce Czyżewskiego wszystkie zaobserwowane szczegóły.

Spędziłam z profesorem niejedną godzinę na konfrontowaniu naszych wspomnień i spostrzeżeń o nim i przekonywałam się niejednokrotnie, jak niełatwe było to zadanie, ale jakże fascynujące.

WARUNKI KONKURSU „CZYTELNIKA” na utwór literacki

W dniu wydania setnej książki „Czytelnik” ogłosił konkurs na utwór literacki, przeznaczając 200.000.— zł. na nagrody.

Dnia 21 b. m. na posiedzeniu Jury ustalono następujące warunki konkursu

TEMAT: Bitwa pod Lenino, Warszawa, Berlinem, Dreznem, Kołobrzegiem. (Bitwa może być tylko jednym z epizodów utworu).

FORMA: Powieść, nowela, opowiadanie, pamiętnik, listy.

NAGRODY:
1-sza nagroda (za powieść) 80.000.—
2-ga nagroda (za inny utwór) 40.000.—
3, 4, 5 i 6-ta nagroda po 20.000.—

TERMIN NADSYŁANIA UTWORÓW:
Dla utworów krótszych 1.9.1946 r.
Dla powieści 1.3.1947 r.

Rekopisy nadsyłać należy w zalakowanej kopercie z podaniem hasła, na adres: „Czytelnik”, Wydział Wydawniczy, Warszawa, Wiejska 14, „Jury konkursu”.

SKŁAD JURY KONKURSU STANOWIĄ:
Przewodniczący: ob. Jarosław Iwaszkiewicz, wiceprzewodniczący: gen. broni Karol Świerczewski, sekretarz: ob. Zofia Dembińska. Członkowie: ob. Janina Broniewska, ob. Stanisław Ryszard Dobrowolski, min. Leon Kruczkowski, gen. brygady Konrad Świłtik.

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” zastrzega sobie prawo pierwokupu nadesłanych rękopisów, niezależnie od ich nagrodzenia.

SIEDEM DNI

Wznowienie obrad ministrów spraw zagranicznych poprzedziły optymistyczne wypowiedzi niektórych ministrów i w ślad za tym pełne różowych nadziei — komentarze prasy światowej. Wygląda na to i najpewniej tak jest, że wszyscy pragną zgody i pokoju. Chodzi tylko o ustalenie ceny. Oboz nie wydaje mi się, aby ostateczne dobicie targu było kwestią dni lub nawet miesięcy. Partnerzy w tej wielkiej grze orientują się doskonale, że żadna ze stron nie zaryzykuje wojny w obecnym układzie sił; dlatego właśnie nie pomina, jak sądzę, żadnego z wielu kupieckich sposobów podbijania ceny. Należy przy tym dorzucić, że o ile pokojowość anglosaskich mężów stanu warunkuje brak najemnego żołnierza, o tyle Bidault i Molotov bronią pokoju, świadomi że każdy dzień wyrwany wojnie jest naturalnym mnożnikiem dobrobytu narodów, które reprezentują. Jasne więc, że równoległe do pokojowych pertraktacji pierwsze, tj. Bevin i Byrnes starają się o zmianę obecnego układu sił, a ostatni tj. Bidault i Molotov torpedują te próby w miarę swoich możliwości. Przy tym założeniu możemy niewątpliwie wydzielić z kwestii spotnych sprawy drugorzędne od tych, które mają w przyszłości przynieść jedną ze stron zdecydowaną hegemonię militarną. Do spraw drugorzędnych zaliczamy zarówno Tróstronny Wioski Kolonie, wszystkie traktaty pokojowe z wyjątkiem traktatu z Niemcami, spory dotyczące wszystkich granic, z wyjątkiem wschodniej i zachodniej granicy Niemiec oraz „troski” każdej ze stron o „wolność” małych narodów, znajdujących się w sferze strony przeciwnej. Spory te, nie wyłączając „wolności” dadzą się, jak sądzę, rozwiązać drogą przewlekłych targów, natomiast różnice zdań co do losu Niemiec, ich struktury wewnętrznej i granic oraz rozbiśność zdań w sprawie hiszpańskiej noszą wszelkie znamiona „twardych orzechów”. Przypuszczam, że nawet w wypadku naturalnego zgonu ze starości młodego jeszcze obecnie generała Franco, Anglii nie porzucą prób rozwiązania osieroconego faszyzmu hiszpańskiego, tej namiastki czynnika równowagi europejskiej, jakimi były silne Niemcy.

Tymczasem w drugorzędnych targach, strony nie gardzą chwytami o charakterze kupieckich sposobów, którymi starają się wplynąć na wzajemną ustepliwłość. Ułubionym na przykład, chwytom Bevin jest... Winston Churchill. O ile bowiem urzędującego ministra obowiązują takt i obyczaj dyplomatyczny, o tyle nie obowiązują on opozycjonisty i „prywatnego człowieka”, który w obecnej rozgrywce pełni funkcję bądź „łobuza” straszącego mordobiciem bądź bezkompromisowego bojownika o „wolność” narodów, kładącego się Rejtanem na drodze Bevinu ku „nowemu Monachium”. Podobną parę wspólników, jak Bevin i Churchill poznałem kiedyś na bazarze, kupując marynarkę. Podczas gdy jeden ze wspólników wyzywał mnie ordynarnie za to, że ośmielałem się grymasić na elegancki i niedrogi dar UNRRY, drugi przeproszał, rozkładał ręce i z narażaniem życia szepnął mi do ucha tak, aby wspólnik nie słyszał, zniżoną do ostatecznych granic cenę. Kupiłem oczywiście natychmiast, zaniepokojony, czy awanturczycy wspólnik nie pobije swego kompana za zbytnią ustepliwłość.

Na targu światowym sprawy wyglądają jeszcze inaczej. Kiedy Churchill grzmi o „żelaznej kurtynie” i „wolności”, radio moskiewskie wygłasza pogadankę o sytuacji w Indiach, Palestynie i Egipcie. W Teheranie gości przedstawiciel Anglii — do Moskwy zajechał delegat arabski, amerykańscy wojskowi zwiędają północne Indie — Rosjanie zakładają szpital w... Addis Abebie. Ale w Paryżu oczywiście... Wersal. Załatwia się sprawy drobne, trudniejsze schodzą bez sprzeciwu z porządku obrad. Ministrowie poczuwają się już poniekąd moralnie zobowiązani do wysłania w rozbity i stroskany świat jakiegokolwiek bodaj wiadomości, że w czymkolwiek osiągnięto pozór porozumienia.

Sądzę, jak już zaznaczyłem, że wcześniej, a raczej później, po dłuższych targach, uda się ministrom załatwić sprawy drugorzędne. Nie wierzę jednak, aby ZSRR, Francja i Polska, narody dla których warunkiem równowagi europejskiej są Niemcy rozbrojone pozysły na kompromis w zasadniczej grze Anglii, dla której warunkiem równowagi imperialnej są Niemcy uzbrojone.

Zamiary angielskie w połączeniu z odwetowymi nastroskami Niemców są więc dostateczną podstawą do stwierdzenia, że zarówno w interesie naszej niepodległości — jak i niepodległości ZSRR i Francji leży czujna i wieloletnia okupacja Niemiec dopóty, dopóki nie przewyższymy Niemców liczebnie i technicznie. Chyba że ktoś chce wierzyć w demokratyczne Niemcy, lub w... cud nad Odrą.

Jan Rojewski

PRZEGLĄD PRASY

W bieżącym tygodniu bibliograficznym znowu z satysfakcją notujemy pojawienie się nowego pisma naukowego. Tym razem jest to wznowiony „Przeгляд Geograficzny”, organ polskiego Towarzystwa Geograficznego pod redakcją Eugeniusza Romera i Jerzego Lotha. Pismo wydawane jest z zaskitku Wyd. Nauki i Ministerstwa Oświaty. Numer bieżący ukazuje się jako tom XIX-1939/45. W artykule redakcyjnym czytamy zapowiedź, że „Przeгляд Geograficzny” ukazywać się będzie w czterech zeszytach rocznych, jako kwartalnik.

Pierwszy powojenny numer pisma jest interesujący nie tylko dla specjalistów, lecz i dla szerokiego kręgu tych czytelników, którzy pilnie obserwują rozwój życia naukowego w kraju. Numer ten bowiem zawiera dokładny rachunek strat poniesionych przez geografów polską, o której Redakcja w artykule wstępnym pisze, że była uważana „za naukę niebezpieczną ze względów politycznych” w okresie sześciolletniej okupacji niemieckiej.

Znajdujemy tu długą listę nazwisk geografów polskich i przedstawicieli nauk pokrewnych, geologów i kartografów, którzy zginęli w latach 1939-45. Poza tym oddzielnie podano krótkie życiorysy wybitniejszych pracowników naukowych, zaliczając bibliografów, ich prace naukowe, co dziś w okresie trudniejszego odszukiwania prac źródłowych i braków, jakie powstały w zakresie bibliografii, jest rzeczą bardzo cenna.

„Kronika” przynosi nam artykuł Wiesławy Richling-Kondrackiej, omawiający prace konspiracyjne geografów polskich w Warszawie w okresie 1939-44. Ten sam okres w Krakowie relacjonuje St. Leszczycki. O „Tajnym nauczaniu w zakresie geografii na U. J.” informuje nas J. Szaflarski. O geografii uprawianej w obozach jenieckich informują nas dwa artykułki. Wreszcie w oddzielnych artykułach omówiono działalność Zakładu Geograficznego w Warszawie w latach od r. 1935/36 do r. 1945 oraz Instytutu geograficznego U. J. w okresie powojennym.

Pojawienie się „Przeglądu Geograficznego” omawiany dlatego tak obszernie, gdyż jesteśmy zdania, że rozwój czasopiśmiennictwa naukowego jest stanowczo nieproporcjonalnie słaby w stosunku do ilości pracy z dnia na dzień pism i piśmiennictwa „społeczno-literackich”, których jedynym motorem istnienia są często nieusprawiedliwione pretensje takiej czy innej regionalnej grupy literackiej. Dlatego też oceniamy z całym krytycyzmem mnożące się wydawnictwa „regionalne” i „literacko-społeczne” będziemy naszym czytelnikom regularnie sygnalizować nowopowstające pisma specjalne, zwłaszcza naukowe.

Kolejny (4) zeszyt „Nauki i Sztuki” za kwiecień obejmuje prawie wyłącznie pozycje z zakresu nauk humanistycznych. O bitwie radawickiej z punktu widzenia wiedzy o suttce wojennej pisze Wacław Zienkiewicz. Autor wyjaśnia nam, że stan naszych wiadomości o sławnej bitwie jest dość szczupły z uwagi na skąpe źródła historyczne. Artykuł swój opiera Zienkiewicz przede wszystkim na źródłach rosyjskich. Mimo iż jednostronnie „ujawniają one wiele szczegółów nieznanych historiografii radawickiej, ukazują manewr i przebieg spotkania w nowym świetle. Pozwalają poddać rewizji, częściowo przynajmniej, prace Konstantego Górskiego i Tadeusza Korzona”. Poza tym w numerze znajdujemy dalszy ciąg obyczajowego studium Bystronia o Warszawie lat 1815—31. Ciekawe zwłaszcza są dane zebrane przez autora, a do dotyczące zewnętrznego wyglądu miasta i jego urządzeń (oświetlenie, szpitale, wodociągi). O „Badaniach regionalnych w XIX wieku” pisze Jan Reychoń, kreśląc między innymi sylwetki znakomitych badaczy, jak autor prac o Podolu, Józef Rolle (pseud. Antoni J.). W dziale „Kroniki” znajdujemy informacyjny artykuł o polskim życiu uniwersyteckim w Anglii w latach 1940—45.

Przechodząc do omówienia treści nowych numerów pism literackich musimy niestety znowu powtórzyć nasze poprzednie zarzuty w stosunku do 6—7 numeru „Kamena”.

Spodziewaliśmy się, że „Kamena” stanie się miesięcznikiem poetyckim, elektrycznym w dziedzinie formy drukowanych utworów, lecz dbałym przede wszystkim o ich istotną wartość poetycką. Podobnego rodzaju nadzieje wiązałyśmy niegdyś z poznańskim „Życiem

Literackim”. Niestety „Kamena” stała się przytulkiem miernego stylu poetyckiego. Wrażenie to potęgają jeszcze słabe przekłady z nie bardzo przodującej w rozwoju poezji europejskiej liryki serbskiej. Tak więc rodzimy partykularz pomnożony o owe przekłady daje w sumie mało pocieszający obraz literatury tego pisma.

Niewątpliwie dodatnimi pozycjami numeru są: artykuł Wojciecha Natanson o „Nowoczesnym teatrze poetyckim”, mimo iż nie możemy się zgodzić na sformułowania autora, który twierdzi, że nowoczesny teatr poetycki przewyższa naturalizm, zaraz potem wydawca „zalety moralne” tego teatru i tak formuluje swój sąd o pisarzu naturalistycznym: „Pisarz naturalistyczny najczęściej bywa cynikiem”. Naturalistyczny teatr francuski XIX wieku nie wydaje się nam cyniczny — jest tylko lub stara się być obrazem rzeczywistości. To raczej teatr poetycki bywa cyniczny; przypomnijmy sobie „Elektrę” Giraudou czy „Orfeusza” Cocteau. Sądzimy, że cynizm nie polega na mówieniu prawdy, choćby gorzkiej, lecz na mówieniu nieprawdy choćby najpiękniejszej i pozornie najszlachetniejszej. Tym niemniej artykuł Natanson zawiera pewne informacje, zwłaszcza dotyczące współczesnego „teatru poetyckiego” w Polsce i to jest jego główną zaletą. Następną pozycją, która zasługiwałaby na szacunek byłaby kolumna przekładów z liryki francuskiej, gdyby nie to, że przekłady Zbigniewa Stolarza całkowicie deformują poezję Aragona.

O wznowienie „Rocznika Literackiego” wola w nr. 9 „Życia Literackiego” K. W. Zawodziński w artykule „Rzut oka na literaturę polską 1945 roku”. Musimy przyznać, że ten rzut oka przedstawiałby nam literaturę bieżącą w stanie oplakany, gdybyśmy nie patrzyli na nią własnymi oczyma. Wydaje się nam, że autor artykułu z uporem nie dostrzega istotnych i zasadniczych problemów w naszej literaturze, że obchodzi je z daleka. Mimo wszelkie zastrzeżenia odnośnie artykułu, meritum jego — sprawa wznowienia „Rocznika Literackiego” — jest niewątpliwie słuszne.

Niezadowolony z rzeczywistości literackiej krytykowi wtrąca w nr. 11 „Zdroju” Witold Zechenter w artykule „Megalomania a interes społeczeństwa”. P. Zechenter przedstawia nam straszliwy obraz moralnego rozkładu obyczajowości literackiej, pisze o kapłanach, o nadwornych krytykach i tak dalej. Pilny obserwator życia literackiego tożsącego się w Krakowie mógłby zapewne z całą ścisłością ustalić bezpośrednie przyczyny, które wpłynęły w tak zdecydowany sposób na sąd P. Zechentera o całosci życia literackiego w kraju. W artykule swoim jednakże autor nie powołuje się na żadne fakty, podaje ogólnikowe, lecz godzące w dobre imię wszystkich polskich redakcji, frazesy. Ta próba „usanowania” polskiego życia literackiego nie udało się zdecydowanie P. Zechenterowi. Byłoby o wiele słuszniej, gdyby autor artykułu posługiwał się przykładami. Okazałoby się wówczas, że cała sprawa, która z hukiem i patosem wytoczył P. Zechenter na łamach lubelskiego „Zdroju” wynika z osobistych zapewne zadrzań. Na dobrą sprawę Związek Zawodowy Literatów Polskich po artykule opublikowanym przez P. Zechentera winien zażądać od niego danych faktycznych, dotyczących „nieuczynów krytyków”, „kapłanów” i tak dalej. Są to bowiem zarzuty, których bezpodstawnie rzucił nie „wolno”.

„Odra” w numerze 18/19 przynosi między innymi artykuł Wilhelma Szewczyka o Wrocławiu, kreślący dzieje tego miasta i stosunek jego mieszkańców do Polski.

O „Dwuch stolicach Ziemi Lubuskiej” — Lubuszu i Gorzowie — pisze Józef Modrzyński, artykuł o konieczności założenia Muzeum Śląskiego zamieszcza Zbigniew Kwiatkowski.

Śledząc z zainteresowaniem artykuły „Odry” dotyczące spraw śląskich, nie możemy jednak powstrzymać się od uwagi, że strona literacka pisma, zwłaszcza dział poetycki, są nieco zaniedbane. Być może, że „z perspektywy Odry” wiersze te oceniane są przychylnie. Ale „Odra” przecież czytamy dziś w całym kraju i dlatego poziom literackiego działu tego czołowego pisma śląskiego jest dla nas wszystkich rzeczą wielkiej wagi. ph



Marek Żufawski, artysta - malarz, który od 1926 roku pracował i wystawiał swe prace w Anglii, przyleciał niedawno do Kraju i wystawił kilkadziesiąt obrazów z lat ostatnich w Muzeum Narodowym w Warszawie, a następnie w Łodzi.

KORESPONDENCJA

Do Redaktora „Kuznicy”

Znany jest powszechnie jeden z przepisów angielskiego rytuału urzędowego, który wymaga, aby sędzia wdziewał perukę w czasie wykonywania funkcji zawodowej. Wiadomo również o tym, iż rytuał ten obowiązuje równocześnie adwokata angielskiego. Niedostateczna są wszakże u nas informacje o budowie i działaniu aparatu sądowego w Anglii. Większym, aniżeli peruki sędziowskie i adwokackie, a jednak mało znanym curiosum jest np. fakt, iż w Anglii nie ma Min. Sprawiedliwości (ten nieorganizowany pod względem formalnym resort reprezentuje w Gabinetu, Lord Kancelerz, Przewodniczący Izby Lordów, a równocześnie najwyższy urzędnik sądowy w Anglii). Nie ma również takiego urzędu, jak prokurator generalny. Dowodem niedostatecznej orientacji w tej sprawie jest jednoznacznie błędny sposób określania stanowiska, które w swym kraju zajmuje niedawny nasz gość, Sir Hartley Shawcross, przez prasę polską powszechnie nazywany „prokuratorem generalnym” lub „głównym prokuratorem” angielskim.

Według tradycyjnych pojęć ściganie przestępstw w Anglii jest obowiązkiem każdego obywatela. Odwieczna praktyka polegała na tym, iż sędzia angielski, jako konserwator pacis, wybrana przez się osobę, zwłaszcza zaś osobę zainteresowaną w danym akcie przestępstwa (np. w wypadku zabójstwa wybór padał na jednego z członków poszkodowanej rodziny) zobowiązywał (to bind over) do wytoczenia skargi przez adwokata. Na skutek niechęci ze strony obywateli do podejmowania tego rodzaju kroków (głównie ze względu na niemiłą, one kosztą procesu, przede wszystkim honoraria adwokackie), obowiązek wnoszenia podobnych skarg zaczęto ostatnimi czasy przerzucać w znacznej ilości wypadków na członków służby policyjnej, która sprawę oddaje adwokatowi, przystępującemu w tych ramach w charakterze „rzecznika Korony”, a w imieniu i obronie ładu społecznego; adwokat pełni wówczas funkcję „prokuratora”. Praktyki te wykazują jednakowoż uderzającą niejednołitość.

W dążeniu do ujednolicenia systemu ścigania przestępstw ustanowiony został przed sześćdziesięciu laty urząd „Dyrektora oskarżeń publicznych” (Director of Public Prosecutions). Nowa kreacja nie została wszakże wykonana po dzień dzisiejszy; zakres działalności „Dyrektora oskarżeń publicznych” jest narazie bardzo wąski (w r. 1937 miał on zaledwie 491 sprawy na całą Anglię).

Attorney-General jest to swego rodzaju urząd „radcy prawnego” rządu. Obowiązkiem jego jest przede wszystkim opiniować w szeregach spraw niejasnych lub spornych w łonie poszczególnych resortów ministerialnych. W dalszym ciągu spoczywa na jego barkach obrona racji pewnych kroków rządowych na forum parlamentu, w wypadkach opozycji ze strony przedstawicieli narodu. Musząc w takich ramach występować na terenie parlamentarnym, Attorney-General jest z reguły postem do Izby Gmin. Zauważać jest również członkiem Gabinetu, a więc posiada godność Ministra. W bardzo ważnych sprawach państwowych jak np. zdrada stanu, fałszerstwo waluty i t. p. występuje on w charakterze oskarżyciela. W pewnych rzadkich stosunkowo wypadkach udziela wskazówek „Dyrektorowi oskarżeń publicznych”. Zasadniczą sferą jego funkcji jest wszakże porada i obrona prawna. Też ze względu na swój charakter profesjonalny jest członkiem palestry. Taki właśnie Attorney-General przebywał niedawno w Polsce; był nim Sir Hartley Shawcross.

Tych parę informacji pozwalam sobie przedstawić dla uzupełnienia wiadomości o perukach sędziowskich i adwokackich.

Tadeusz Grzebiński.

PAŃSTWOWE ZJEDNOCZENIE

PRZEMYSŁU PIWOWARSKO-SŁODOWNICZEGO

podległe Ministerstwu Aprowizacji i Handlu, Rejon Krakowski
w Krakowie, ul. Kopernika 6, tel. 566-98

Rachunek czekowy w B. G. K. Nr 340 oraz P. K. O. Nr IV-1055

Zrzesza browary:

Okocim, Żywiec, Kraków, Grybów, Zarszyn,
Tarnobrzeg oraz słodownię w Tarnowie

Produkuje piwa jasne 7° i 9°. Znany z dobroci
porter 22° i piwo ciemne 15° z Browarów Okocim-
skiego i Żywieckiego ukażą się wkrótce w sprzedaży.

Teatr Kameralny w Łodzi



„Produkcja Pana Brandta” Jana Rojewskiego
Scena z aktu I: Michał Melina, Jerzy Duszyński

Kłopoty Bęc-Walskich i kłopoty z Bęc-Walskimi

Każdy okres przelomu ma swój „Wiśniowy sad”, swoich „Rozbitek”. Starzy pakują walizki i odchodzą. Przychodzą inni ludzie i zaczynają nowe życie. Jak musiała usunąć się nieproduktywna szlachetczyzna — dając miejsce młodej burżuazji, tak musi odejść zaenerowana burżuazja pozostawiając na placu żywioły demokratyczne. I tu i tam wskaźnikiem jest produkcja. U Czechowa: panj Lubińskiego nie produkuje, natomiast Łopuchin da bożka do nowej produkcji U Rojewskiego: „producent” Brandt nie produkuje; produkuje natomiast Walczakowie. Zamiast lez nad kwitającym drzewem wiśni, żal za szaserami generalskich adiutantów w świetle kinkietów, za irlandzką suczką, Rekwizyty epoki schodzą do Lamusa. I o ile rekwizyty epoki „Wiśniowego sadu” mogły znaleźć rezonans fałszywego sentymentalizmu na widowni, o tyle rekwizyty doby Brandtów wzbudzają co najwyżej uśmiech ironii i politowania.

Dobrze się stało, że autor pierwszej powojennej komedii sięgnął po problem społeczny. „Kapitał na mękach” — to nie nowy problem w komedii. Celował w nim G. B. Shaw, zwłaszcza w pierwszym okresie swojej twórczości. (Szczyglił zaufek) Lecz tu pokazano nam go w nowej szacie. Ze względu na zmienioną sytuację ekonomiczną — społeczną Rojewski nie musi wkładać tyle pasji i namiętności w piętnowanie kapitału. Może sobie pozwolić na ironię i nawet uронić ironiczną leżkę sentymentalizmu. Komedja Rojewskiego — to nie socjalizm walczący — to socjalizm dojrzewający i rejestrujący dotychczasowe osiągnięcia i chwile niedomagania rzeczywistości. U Shawa w „Szczyglił zaufku” jest „kapitał wzięty na mękę” przez autora. Rojewski nie bierze na mękę kapitału. Zrobiła to już za niego historia. Autor może sobie pozwolić na stonowanie ostrości konfliktów, na złagodzenie zagadnienia. Członkowie klasy obumierającej, to wcale nie czarne charaktery. Prócz aspołecznych, amoralnych cech fabrykanta Branota, pokazał nam ludzkie cechy kochającego ojca. Halina jego córka to w gruncie rzeczy porządny człowiek tylko okropnie źle wychowany.

Całą zresztą towarzysztwo zachowuje się pod zechłym psem. Postępują — nie exrobotnika Walczaka, ale siebie samych. Może to usuwanie się gruntu pod nogami nastraja wszystkich histerycznie, odbiera umiar. Patyna manier złazi. Tym jaskrawiej odbija na tym tle ironia autora, który każe fabrykantównie upodobać sobie w robotniku tego „manier”. Halina szuka starych wartości, czy też raczej pseudo-wartości, w nowym człowieku.

Scena komediowa — Cwojdzńskiego — po teorii Einsteina i Freuda Teorii snów, zyskała materializm historyczny i dialektykę w wykładzie Rojewskiego. Jest zasadnicza różnica. O ile w tamtych sztukach pokazane i wykpiwane zostało laleczne wydanie teorii i metody przeprowadzone według teorii, o tyle tutaj autor rozprawia się tylko z werbalnymi łatwiznami teorii, wkładając je z kolei w usta wszystkich nierozumiejących jej i niewprowadzających w życie. Ci, których życie jest realizacją idei (w marksistowskim rozumieniu tego słowa) nie operują sloganami. Ich postępowanie mówi samo za siebie. I to jest zasadnicza różnica pomiędzy Cwojdzńskim a Rojewskim. Cwojdzński w swoich komediach daje wysublimowany i odosobniony w swym komizmie przekrój psychologicznych perypetii, powiązanych pseudo naukowym wątkiem werbalnym, który jest opracowany metodologicznie według recepty danej teorii, pokazując w finiszu jej życiowe bankructwo. Rojewski oddziałuje stronę komediową od strony poważnej. Stronę

komediową zabarwia farsowością niepotrzebnie przejawianą w grze aktorów (Bielicka). Stronę poważną ratuje od patosu, zabarwiająca dialektykę psychologicznymi posłizgnięciami życiowymi i niekonsekwencjami uczuciowymi, które mogą osłabić (bo nie zmienić) prężność linii postępowania w walce klas. Halina kocha swego ojca. Halina nawet jako żona Walczaka będzie córka Brandta. Gdy będzie chodziło o jej eks-burżuazyjne zachcianki w rodzaju suczek terrierów irlandzkich i t.p., uczucie jej do ojca nie osłabnie. Brandt się nie zmieni. Ta pozycja jest stracona. Brandt, jeśli pozostanie w kręgu widzenia córki, pozostanie również w obrębie jej zainteresowania. Brandt będzie wierzył dalej, dopóki mu starczy sił. I albo Halina przy pomocy Walczaka będzie go wyciągać z niejedynej jeszcze opresji, co koniec końców dla wszystkich trojga zakończy się tragicznie albo Brandt wpadnie, nie otrzymawszy pomocy zięcia mimo lez i prób Haliny, co będzie, przykrym zgrzytem w pożytku obojga i stanie się początkiem końca. Halina nie będzie mogła żywić trwałego uczucia do Walczaka, którego towarzysze wsadzą do ciotki jej ojca. Jeśli młoda para chce żyć spokojnie niech się wystara „paszport dla teścia, żeby jak najszybciej wyjechał na drugi kontynent. To refleksje po opuszczeniu kurtyny. Refleksje nie umiarkowane w wypadkach, w których wchodzi w grę sztuka, w której historia nie postawiła jeszcze swojej kropki nad „i” (w pogięciach wielu panów Brandtów). I w której historia nie dała nam precyzyjnego konsekwentnego rozwiązania rewolucji lagodnej. Co zrobi z Brandtami, którzy nie chcą przestać wierzyć? Nie mogą przestać, zbyt starzy są na zmianę postępowania i poglądów — i mają „to” we krwi. Kategorie łapownictwa, postułaty wszechwładzy pieniądza chcą przyląść do nowych zmienionych całkowicie warunków. Nie chcą widzieć nowego typu człowieka, który dla nich miał dotąd tylko „krótkie nogi i długie ręce”, będąc przez to idealnym narzędziem do pracy. W niemie zozwienie wprowadza Brandta Walczak, nie pragnący pieniędzy ani brylantów, lecz tyłk, wolności i sprawiedliwości. W niemie wsieklekłość wprowadza amerykańskiego przemysłowca i akcjonariusza potężnych trustów strajkujący robotnik, domagający się nie wyższej płacy, lecz wglądu w domenie zakazanego tabu: w księgi i plany swoich warsztatów pracy. Naprzód. „Szkoda, że Kapitał Marksa nie dostał się w pierw w ręce kapitalistów nim doszedł do rąk robotnika” — mówi Brandt, myśląc, że sformułowaną teorię można by tak samo wykupić i ukryć w safesie, jak patent na epokowy wynalazek podważający rentowność danej gałęzi produkcji i źródła wzyssku kapitalisty. Zapomina o tym, że Marks to tylko jeden szczebel na drodze do wyzwolenia świata z matni rozwijającego się, a z kolei — przez narastanie paradoksów w samym zjawisku — upadającego kapitalizmu. Zapomina o tym, że Marks to tylko jedno z ogniw w łańcuchu przyczyn i skutków. Zapomina — bo nie myśli dialektycznie.

Halina Kowalska.

Czytajcie i prenumerujcie

„KUŹNICĘ”

NOTY

NIESZCZĘŚCIE

Anonsując tom opowiadań Wojciecha Żukrowskiego „Z kraju milczenia” — „Rzeczpospolita” zamieszcza wzmiankę, w której m. in. czytamy:

„Pod śniegiem” — to historia uratowanego od niechybnej śmierci chorzejącego, który miał nieszczęście być Żydem z pochodzenia...”

A coby dopiero było za nieszczęście, gdy uratowany był wyznania mojżeszowego...

rm

COKOLWIEK SIĘ ZDARZY NIECH UDERZA WE MNIE...

Jedną z naszych agencji prasowych podała ostatnio wiadomość o prawdopodobnym przyjeździe Winstona Churchilla na kurację do Czechosłowacji pod rubryką: Sprawy polskie.

Bardzo słusznie!

rkm

HEJNAŁY

W „Rzeczpospolitej” z dnia 9 czerwca (Nr. 158) ukazało się ogłoszenie konkursu na hejnał Zamojski. Wymagania stawiane muzykom są wybitnie umiarkowane. „Hejnał musi przypominać coś z tradycji grodu hetmańskiego i obrony narodowej oraz przeszłych cierpień okupacji niemieckiej”. Jak muzycy wybrną z tego zadania, nie wiemy, niech ich oświeci św. Biurokracy. Życzymy im, żeby hejnał przypominał nie tylko postać wielkiego Hetmana, ale i Sobiepana Zamojskiego, który nie oddał miasta Szwedom, jak również Michała Korybuta Wiśniowieckiego, który przebywał w Zamościu. Nie zaszkodzi również i wspomnieć uroczej Anusi Borzobohatej. Z postaci współczesnych warto by, panowie muzycy, pomieścić w hejnale postać kierownika wydziału propagandy, kierownika wydziału kultury i sztuki oraz innych urzędników, zajmujących się sprawami muzyki, malarstwa, teatru i literatury. Z hejnałem warszawskim będzie znacznie mniej kłopotu. Wystarczy na cześć ob. Henryka Ładosza zmodyfikować nieco popularny motyw: „Gęsi za wodą, kaczki za wodą, trzeba je rozdzielić, bo się zabodą”, a wszystko w dziedzinie sztuki okaże się na właściwym miejscu.

awk

PANI PÉCHIN CHCE BYĆ NIEŚMIERTELNA

Przerzuciłem „Pierścień z ametystem”, zna ją powieść Anatola France’a.

Na którejś stronie mamy drwiącą rozmowę o pracce pani Péchin, która chce być nieśmiertelną. Dwaj sceptyczni uczeni kpią sobie z przywiązania prostych dusz do religijnej idei nieśmiertelności.

Rozkoszują się idiotyczną perspektywą: popolity sklepikarz z prowincji, który ma czelność wierzyć, że to on, on jest nieśmiertelny. Mydlarz chce być nieśmiertelny. Gdyby mu powiedzied, iż jest inaczej, miałby to za złe i nie uwierzyłby mówiącemu!

Istotnie odkrycie możliwości ludzkiego zarozumiałstwa w dowcipnej rozmowie o panj Péchin, która chce być nieśmiertelną — jest pełne wazleku i krytycyzmu. Lecz obaj sceptyczny intelektualisci reprezentujący stanowisko France’a zachowują się dziwnie podobnie do pani Péchin. Nie bowiem tak brutalnie nie demaskują fałszywych i zarozumiałych ludzkich ambicji jak sceptycyzm. Jest to forma kokietowania skromnością właściwą ludziom rozdętym pycha.

Posłuchajmy bowiem co mówi sceptyczny porte - parole France’a:

„Idee Laplace’a są jasno, wykładane prawie od stulecia a mimo to baśni żydowskie lub chaldejskie o powstaniu świata, znajdujące się w świętych księgach chrześcijan, nie straciły swego wpływu wśród ludzi. Wiedza nigdy nie zaszkodziła religii: wykazanie głupoty pewnego obrzędu pobożnego nie zmniejszy liczby tych, którzy go wykonywać będą. Prawdy naukowe nie są sympatyczne dla ogółu. Ludy żyją mitologią. Z baśni wyprowadzają wszystkie potrzebne im do życia pojęcia. Nie wiele im potrzeba: kilka prostych kłamstw wystarczy do ozdobienia milionów istnień. Słowem, prawda obojętna jest dla ludzi. I że by było, gdyby było inaczej, bo przeciwna jest ona zarówno ich duchowi, jak ich interesom”.

Ustęp ten trafnie charakteryzuje empiryczne stwierdzenie granic społecznej wpływu prawd naukowych w nowoczesnym społeczeństwie.

Lecz z tego nie wolno nam wyciągać sceptycznych wniosków o przeciwieństwie „prawdy” i „człowieczeństwa”. Należy w dniu „ani liczyć się z ograniczonością wpływu prawd. Lecz fakt ten w niczym nie obniża wartości nauki poznawczej. W niczym dla realisty nie obniża ich wartości społecznej, praktycznej. Nie ma bowiem środków działania ludzkiego, które byłyby nieograniczone.

W granicach wyznaczonych przez historię nauka w postępie ludzkości — prawda naukowa jest niezastąpiona.

A sceptyk typu France’owskiego gotów jest uznać wartość prawdy, jeśli ona będzie działać cudy, jeśli jej wpływ nie będzie miał empi-

rycznie poznawalnych, historycznych, społecznych granic.

I tu kryje się główny motyw subiektywny sceptycyzmu: pycha i czelność. Sceptyk ceni sobie tylko „absolut” tylko wartości „absolutne”. O wartości ma rozstrzygać zadośćuczynienie potrzebom takiej czy innej postawy ludzkiej a nie podporządkowanie się rygorom empirycznemu — co jedynie nadaje wartość w rzeczywistości.

Trzeba trochę pokory, by umieć cenić wartości ludzkie w granicach wyznaczonych przez strukturę, materialną strukturę, techniczną i społeczną więź zbiorowej pracy danego historycznego społeczeństwa.

Lecz właśnie tylko o takie wartości — warto się troskać, to tylko jest godne człowieka.

Absolutyzm a rebours sceptyków — to panj Péchin, która chce być nieśmiertelną.

zlk

ZAGADKA DLA BĘC-WALSKICH

Długo Bęc-Walscy czerpali swoją wiedzę o Polsce z sensacyjnych reportaży zagranicznych korespondentów. Przeszaczoło się to w propagandzie szeptanej — jako najprawdziwsza prawda o kraju. Dziś ta moda raczej minęła. I to mnie smuci. Postanowiłem więc dostarczyć naszym Bęc-Walskim trochę informacji o Polsce w tym dobrym, hiperbolycznym stylu. Tym razem z serii artykułów Roberta Crouquet zamieszczonych w dzienniku „Le Soir”. Oto wyjatki z charakterystyki jednego z naszych meżów stanu:

„...jest człowiekiem chwiejnym, bez wyraźnie określonego programu i całkowicie pozabawionym zdolności organizacyjnych. Jest to przywódca wahający się, bez wybitnej energii i niezdolny do powzięcia decyzji.

„...Chce on wygrać na czasie, ale czas pracuje przeciwko niemu. Masy jego zwolenników nie mają już takiej wiary w niego jak na początku. Chciały one przywódcę... znalazły natomiast spokojnego i niezdecydowanego człowieka”.

O kim tu, panowie Bęc-Walscy, pisze z taką niezawodną znajomością człowieka i trafnością spostrzeżeń wasz wysoki zagraniczny autorzytet?

O Mikołajczku.

zlk

ULUBIONE SŁOWA

W strefie brytyjskiej powstała nowa organizacja polityczna pod szumną nazwą „Wspólnota walki o totalną demokrację”. Wyraz „totalny”, jak widać, ma w Niemczech uniwersalne znaczenie: po „totalnej” wojnie i „totalnym” zwycięstwie, które zmieniło się w klęskę, przychodzi kolej na „totalną” demokrację.

Dobór słownika decyduje o stylu.

A styl — to człowiek.

rt

PANU SZPAKOWI — W SKRUSZE

Na łamach tygodnika „Dziś i Jutro” ukazało się moje skromne nazwisko w związku z zamieszczoną w „Kuźnicy” moją impresją (nie rozumowaniem) o Remarque’u. To, co na temat Remarque’a i mieszcza napisałem, widać było nie najgorzej, jeśli pan Szpak decyduje się na polemizowanie (o ile można to w ten sposób nazwać), jedynie przy pomocy wymoczonej już we wszystkich kalamarzach metody. Wybiera z mego artykułu dwa drastyczne fragmenty i wysnuwa z nich wniosek, oczywista wygodny dla siebie. To nawet nie sofistka, to po prostu bzdura. Pomimo to komentuję: primo artykulu pana Piaseckiego, który przede mną ostrzeżił Remarque’a nie czytałem niestety. Nie jestem jednak monopolistą tematowym, chętnie ustępuję Mu zdobywcę, jak każdy szanujący się myśliciel. Zdobycza ta zresztą zlekka wounięje, jak usiłowałem dowiedzieć. Secundo, z pałą nie miałem wiele do czynienia. Nasi chłopcy z ZWM-owej dzielnicy Wola używali, o ile sobie przypominał, stalowych sprężyn zakończonych ołowianą gałką. Używali ich przy akcjach rozbrojeniowych — było to w początkach, brakło innej broni. W gwarze organizacyjnej nazywał się ten przyrząd inaczej, a nie pałka. Nigdy natomiast nie miałem do czynienia z bambusową łachą, opatrzoną żyłkami, jakich używali humanitarni synalkowie z ONR-u.

Poza tym chciałbym podziękować panu Szpakowi za trud, jaki podjął, by wyprowadzić mnie z manowców światopoglądowych, na jakich błąkałem się, nareszcie wiem, że jestem faszystą! O jedno mam pretensję — o epitet „palkarza”, na który, jak starałem się wyżej wykazać, bynajmniej nie zasłużyłem. To tak ładnie, panie Szpak, niewinnego człowieka obarczać ciężkim zarzutem? Po katolicku to? Milujcie nieco nieprzyjaciół wasze. Pozostaje z głębokim poważaniem. Eja Eja a la la.

B. Czeszko

CENY OGŁOSZEŃ: 7 kolumny zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł mna na 1 szpalte.

Redaguje Zespół „Kuźnicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

D. 99476

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

Wydawca: Zespół „Kuźnicy”. — Drukarnia

Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” Nr. 4, ul. Zwirki 2.